TYDZIEŃ

Nr 40 (64) ROK II

5. X. 1947

CENA 20 ZŁ



KTO DA WIĘCEJ za rysunek Edmunda Bartłomiejczyka

Artysta przeznacza honorarium na odbudowę Stolicy

NASZA OKŁADKA



Rys. E. Bartłomiejczyk

RYNEK STAREGO MIASTA

Oryginał tego rysunku prof. Bartłomiejczyk przeznacza na sprzedaż, a sumę za to uzyskaną na odbudowę Stolicy.

Do dnia 15 bm. oczekujemy na zgłoszenia, które prosimy przesyłać na adres „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8. Rysunek przypadnie ofiarodawcy najwyższej sumy.

A co na to ONZ?



Rząd Franco nie udzielił zezwolenia na przybycie do Hiszpanii Międzyn. Komisji Prawniczej, która pragnęła zapoznać się ze sposobami traktowania więźniów w tym kraju. Nie udzielono również takiego zezwolenia angielskiemu prawnikowi i radcy królewskiemu, Prittowi, który pragnął zbadać sytuację, panującą w więzieniach hiszpańskich.

Międzynarodowa Federacja Kobiet domagała się wpuszczenia do Hiszpanii specjalnego przedstawiciela, który by zbadał los kobiet w więzieniach hiszpańskich.

Pritt wydał oświadczenie, w którym stwierdza, że odmowa ta oznacza, iż rząd Franco istotnie stosuje brutalne i niedozwolone metody w stosunku do więźniów. Według oficjalnych danych nadzoru więziennego na dzień 31 lipca 1947 r. w więzieniach hiszpańskich przebywało 106.249 osób, w tym 20.501 kobiet. W samym tylko Madrycie w więzieniach dla karmiących matek znajdowało się przeszło 200 kobiet.

Można było lepiej zużytkować te dolary...

BADAWCZA Rada Naukowa Stanów Zjednoczonych opublikowała rejest swych wydatków w ramach przyznanego jej budżetu w sumie 624 milionów dolarów. Z kwoty tej 520 milionów dolarów zużytkowano na badania związane z ulepszeniem nowoczesnej broni, środków masowego zniszczenia. Przeprowadzano doświadczenia w zakresie użycia pocisków kierowanych na odległość, samolotów rakietowych itp.

520 milionów dolarów jest to bardzo duża suma... Jest to suma, mogąca znakomicie przyczynić się od odbudowy wielu zniszczeń, pozostałych na świecie w wyniku drugiej wojny światowej.

Tymczasem miliony te zamiast budować — burzą. Jeśli nie życie i osiedla ludzkie, to w każdym razie spokój i zaufanie wzajemne narodów świata.

Kiedy balet strajkuje

ŻYCIEM gospodarczym Francji raz po raz wstrząsają strajki, wywołane polityką ekonomiczną rządu i ciężką sytuacją finansową.

Ostatnio jednak miał miejsce w Paryżu oryginalny strajk na zupełnie innym podłożu. W Operze Paryskiej, przy otwartej kurtynie zastrajkował nagle cały zespół baletowy na znak protestu przeciwko powrotowi na scenę znanego baletmistrza, Sergiusza Lifara, który w czasie wojny współpracował z Niemcami. Przedstawienie nie odbyło się a publiczność musiała opuścić salę.

tak i nie

Weterani Amerykańscy na froncie politycznym

WETERANI obu wojen światowych posiadają w Ameryce liczną i potężną organizację: American Legion. O statni zjazd odbył się w Nowym Jorku. Zarówno Truman, jak i gubernator Dewey, przewidywani jako kandydaci w najbliższych wyborach prezydenckich, wystosowali orędzia do „Legionu" (liczy on 1.025.000 członków z pierwszej i 2.300.000 członków z drugiej wojny). Niektórzy uczestnicy nosili transparenty wzywające gen. Eisenhowera do wysunięcia swojej kandydatury. Zjazd zakończył się bez poważniejszych rezultatów politycznych.

Natomiast restauratorzy i hotelarze nowojorscy, a w szczególności mieszkanki miasta drapaczy chmur przeżyli chwile niepokoju. W czasie wielkiej defilady restauratorzy i hotelarze usunęli ze swoich lokali wszystkie przedmioty, które mogły służyć jako pociski. Kobiety nie mogły się jednak obronić od zaczepek dokonywanych przy pomocy lasek elektrycznych wywołujących niemiły szok, lub przy pomocy najnowocześniejszej broni śmigusowej.

(p)

W Hiszpanii...

ZGODNIE ze starodawnym zwyczajem hiszpańskim górnicy tego kraju odprowadzają gromadnie na wieczny spoczynek zwłoki swych towarzyszy pracy. Jeżeli górnik stał się ofiarą wypadku w kopalni wszyscy koledzy biorą udział w pogrzebie.

Niedawno w kopalni Langreo w Asturii jeden z górników zginął wskutek wypadku. Nazajutrz odbył się pogrzeb, w którym zgodnie z tradycją wzięli udział wszyscy robotnicy kopalni. Gdy wrócili z cmentarza, większość z nich została aresztowana pod zarzutem przystąpienia do strajku. A strajkować w Hiszpanii nie wolno.

(p)

Spółdzielczość w Szwajcarii

SPÓŁDZIELCZOŚĆ w Szwajcarii jest potęgą. Według ostatnich danych statystycznych 45 procent wszystkich rodzin jest zorganizowanych w spółdzielniach spożywczych, a spółdzielczość rolnicza liczy 359.000 członków. Trzeba przy tym pamiętać, że Szwajcaria ma ogółem nie wiele ponad 4 miliony ludności. Im mniejsze jest osiedle, tym większe znaczenie spółdzielni. W miasteczkach i większych wsiach położonych w dolinach spółdzielnie zdołały opanować przeszło połowę obrotów handlowych, mimo silnej konkurencji prywatnych przedsiębiorstw. W górach, gdzie wioski są uboższe i trudniej dostępne (np. w kantonie Wallis), spółdzielnia staje się jedynym ośrodkiem życia gospodarczego.

Rada Związkowa, najwyższa władza Szwajcarii, stwierdziła niedawno w jednym ze sprawozdań, że „można w istocie przypuszczać, iż idea spółdzielcza stanie się dobrem powszechnym. Można sobie nawet wyobrazić sytuację, w której spółdzielczość stanie się przodującą formą gospodarczą w drodze swobodnego rozwoju".

(p)

Amerykanie emigrują do Australii

W POSZUKIWANIU imigrantów rząd australijski zwrócił uwagę na Stany Zjednoczone. Jak wiadomo, Australia nie życzy sobie przyjazdu Murzynów i żółtolicych Azjatów. Dlatego gotowa jest zapłacić Jankesom aż 40 procent kosztów przejazdu, aby tylko przyciągnąć ich do siebie. Milion Amerykanów (tylko białoskórych) może otrzymać wizy.

Do konsulatu australijskiego w San Francisco zgłasza się po 100 kandydatów dziennie. Trudno ustalić, jakie są przyczyny tego zjawiska. W każdym bądź razie niech wiedzą to mieszkańcy Europy, wielu ludzi pragnie opuścić ojczyznę dolarów, i to na zawsze.

(p)

Dostawcy dworu J. K. Mości

AMERYKAŃSCY przedsiębiorcy bieliźniani postanowili wypróbować na angielskiej księżniczce Elżbiecie trik reklamowy, zastosowany z wielkim powodzeniem wobec pięcioraczek kanadyjskich. Zaofiarowali następczyni tronu angielskiego całkowitą wyprawę. Oczyma duszy widzieli już olbrzymie ogłoszenie w prasie reklamujące szczodrość fabrykantów i doskonałość ich wyrobów. Projekt rozbił się o zdecydowaną odmowę dyplomatów angielskich, którzy nie chcieli nawet przesłać oferty do Londynu.

Nie wiadomo jednak, czy inne pragnienie zostanie zaspokojone. Wiele snobistycznych Amerykanek pragnie posiadać pierścionki wzorowane na pierścionku zaręczynowym księżniczki Elżbiety. Jubilerzy nowojorscy wystosowali uniżoną prośbę o fotografię pierścionka.

(p)

Nędza bogatego kraju

BRAZYLIA uchodzi za jeden z krajów o wielkich zasobach i odgrywa wielką rolę jako jeden z ważnych dostawców mięsa na rynku światowym. Tymczasem według ostatnich sprawozdań brazylijskiej służby zdrowia dwie trzecie ludności, tj. 30 milionów z ogólnej liczby 45 milionów, jest stale niedożywionych. Gruźlica szerzy się, a co piąty noworodek umiera.

Znany naukowiec brazylijski Tavarez de Sa ostrzegł niedawno swoich ziomków przed tymi niebezpieczeństwami, gdyż jak pisze, „W Brazylii zdrowie jest warunkiem pomyślności". Trudno jednak o poprawę zdrowia w cieplym klimacie Brazylii, gdy główne pożywienie szerokich mas stanowi czarna fasola, maniok, nieco suszonej wołowiny i kawa. Zwłaszcza, że nawet tej żywności jest mało.

(p)

Swastyka w fusach

GDY już wielkogermańskie państwo Hitlera waliło się w gruzy, a Goebbels wciąż jeszcze chciał mydlić oczy swoich ziomków, wydał on za pośrednictwem urzędów propagandy i policji dyspozycje dla wróżbitów i wróżek. Wskazał wyraźnie w jakim duchu winny rozstrzygać wątpliwości sercowe i życiowe swoich klientów.

Wiadomości jakie dochodzą zarówno z Berlina, jak i z innych stron Niemiec przemawiają za tym, że mistrzowie szklanych kul i niezbadanych tajemnic fusów po czarnej kawie nadal wykonują instrukcje i wróżą w duchu wyraźnie hitlerowskim, przepowiadając odrodzenie potęgi Niemiec i pognębienie ich wrogów. Gdy to nastąpi, kłopoty łatwowiernych klientów rozwieją się same.

Czyżby Goebbels zjawiał się jako duch na seansach spirytystycznych i uświadamiał dalej adeptów czarnej magii Niemiec?

(p)

Droga do zgody

TYDZIEŃ donosił niedawno o zaleceniach Komisji Badawczej ONZ dla spraw Palestyny, w których wypowiedziano się za podziałem tego kraju między Żydów i Arabów. W czasie gdy w Palestynie dochodzi wciąż jeszcze do gwałtownych wystąpień terrorystycznych, a nawet do starć między poszczególnymi grupami ludności, warto zanotować objaw pocieszający i pouczający zarazem. W Jerozolimie 70.000 robotników, zrzeszonych w związkach zawodowych, wystąpiło zgodnie w obronie swoich interesów, domagając się poprawy warunków bytu, a w szczególności przyznania urlopów. Na dzień przed wyznaczonym początkiem strajku przedsiębiorcy przyjęli warunki związków, dowiedziawszy się, że doszło do porozumienia między organizacjami reprezentującymi robotników żydowskich i robotników arabskich.

(p)

Ostrze na ostrze

CUKIER KRZEPI

Verdun — to małe francuskie miasteczko, jakich wiele znaleźć można na mapie tego pięknego kraju. Bywają jednak takie właśnie małe, niczym się nie wyróżniające miasteczka, gdzie historia w swym przelocie nagle ni stąd ni zowąd tupnęła nogą. Miasteczka takie przychodzą wówczas na świat po raz drugi. Zaczynają żyć podwójnym życiem: na kartach podręczników historycznych i codziennym biegiem zwykłych zdarzeń i zwykłych ludzkich spraw.

Istnieje zatem Verdun — epopea żołnierza francuskiego w czasie pierwszej wojny światowej i Verdun — dzień dzisiejszy szarego człowieka Francji.

Otóż przed kilkoma dniami Verdun stało się miejscem poważnych zamieszek. Tłumnie zgromadzona ludność usiłowała zatrzymać transporty cukru, których trasa biegła do... Niemiec. Na ulicach wzniesiono barykady. Głośnymi okrzykami dawała ludność wyraz swemu oburzeniu z powodu faktu, iż cenny artykuł wysyłany jest do Niemiec dla dożywiania „boszów", podczas gdy we Francji dotkliwy brak cukru sprawia, że naród zmuszony jest do używania sacharyny. Demonstracje były tak gwałtowne, iż zaszła potrzeba sprowadzenia pięciotysięcznego korpusu policji, który po uciążliwych starciach rozpędził tłumy przy pomocy gazów łzawiących.

Doświadczenia fizyki stwierdzają, że w małych cząsteczkach materii odbija się obraz struktury świata. Jest też tak, że małe wydarzenia bywają odbiciem wielkich problemów.

W tym wypadku sprawa zajść w Verdun odzwierciedla wiernie opinię i nastroje Francuzów — i nie tylko Francuzów — odnośnie zagadnienia odbudowy i aprowizacji Niemców. Żonglerom wielkich słów i spekulantom wielkiej gry, którzy zbyt łatwo zapominają o stawce tej gry: życiu i interesach człowieka, prosty ten człowiek zadaje proste pytanie — przepraszam, a kogo ma krzepić nasz cukier? Nas, czy sprawców braku tego cukru? Dlaczego mamy tuczyć naszego odwiecznego wroga, gdy sami nie mamy co jeść?

Tak przemawia obywatel miasteczka Verdun. Nie rozumie on i nie aprobuje posunięć, narzuconych przez obce interesom francuskim czynniki, zdążających do ochrony interesów niemieckich, interesów zagranicznych.

Obywatel miasteczka Verdun nie wnika w machinacje za sprawą których francuski cukier krzepić ma Niemców. Jakże wielkie musi być rozgoryczenie i zniecierpliwienie obywatela miasteczka Verdun, skoro potrzeba aż pięciu tysięcy policjantów, uzbrojonych w gazy łzawiące, aby zdusić odruch jego rozpaczy i oporu — skoro aż takich odruchów potrzeba w braku innych możliwości wpływnięcia na zmianę porządku — czy raczej — nieporządku rzeczy...

Obywatel Verdun życzy sobie, by francuski cukier krzepił francuskie dzieci. Chce tego, ponieważ nie potrzebuje uczyć się dziejów swego miasta z podręcznika historii. Zbyt żywo i zbyt boleśnie ma je w pamięci. Ta pamięć zaś jest wobec istniejącej rzeczywistości zobowiązaniem — „Verdun oblige".

AVIS

Zbigniew Milzner

KŁODY POD NOGI

CUDZOZIEMCY, zwiedzający nasz kraj, są zgodni i jednomyślni w swoich opiniach Polska w zakresie odbudowy swego życia we wszelkich dziedzinach — przoduje w Europie. Postępy tej odbudowy są tym większe, że dokonywuje się ona niemal wyłącznie w oparciu o kapitał własny, o kapitał pracy i entuzjazmu. Miasta, wsie, fabryki, kopalnie i porty, dotknięte najcięższym zniszczeniem wojennym, podnoszone są z gruzów i odbudowywane dzięki wysiłkowi milionów ludzi. Każdy nieuprzedzony obserwator, każdy człowiek, umiejący pamiętać i porównywać, stwierdzić może, o ile szybsze jest tempo dzisiejszej odbudowy, o ile jest ona sprawniejsza dziś, niż w okresie, który nastąpił po pierwszej wojnie światowej. Osiągnięcia są tym większe, im większe są obecne zniszczenia.

To mnożenie wysiłków stało się możliwe dzięki przemianom ustrojowym dokonanym w Polsce, dzięki przekształceniu Polski na Państwo ludowe, w którym siły wielkiego kapitału, siły egoizmu drobnej garstki posiadaczy zostały przełamane. Dzięki temu szerokie masy robotników, chłopów i pracowników umysłowych zmobilizowane zostało do wielkiego wysiłku, który dokonywują nie bacząc na wiele jeszcze braków i niedostatków.

OŚRODKIEM specjalnych wysiłków, ośrodkiem, wokół którego skupia się zapał i praca całego kraju — jest jego stolica — Warszawa, dwukrotnie i straszliwie zniszczona przez okupanta. Praca dla Warszawy zarówno tutaj na miejscu, jak i w całym kraju nie musi być i nie jest przez nikogo wymuszana, jest ona istotnym i prawdziwym porywem Polaków.

Zdawałoby się, iż zadaniem wszystkich czynników, posiadających jakikolwiek głos i wpływ w narodzie, powinno być podtrzymywanie tego entuzjazmu dla ogólnego i wspólnego dobra.

TYMCZASEM w ostatnich dniach mieliśmy do czynienia z wystąpieniami, których celem było nie co innego, jak powstrzymanie i osłabienie tempa odbudowy. W grę argumentów chytrych, ale nie posiadających żadnego logicznego uzasadnienia, wciągnięto boskie prawa. Te prawa, których nikt w świadomości wierzących nie chce w Polsce łamać, ani też lekceważyć.

Kiedy jednak płonie dom, kiedy fale powodzi zalewają osiedle — nie odkładamy ratunku na dzień następny, nawet wówczas, gdy klęska żywiołowa dotyka nas w dzień świąteczny. Byłoby to spychaniem całego społeczeństwa na płaszczyznę niechrześcijańskiej bierności, gdybyśmy nie przyrównali sytuacji, w jakiej kraj nasz się znajduje, do tej sytuacji, w której od ognia i wody ratujemy — niezależnie od pory — nasz dom i nasz dobytek.

Czas jest naszym sojusznikiem w dbudowie dobrobytu, szczęścia ludzkiego i przyszłości naszych dzieci. Ale jest nim wówczas tylko, jeśli go właściwie i pożytecznie wykorzystujemy. Nie mamy czasu czekać, zdani jesteśmy niemal wyłącznie na własne siły i te siły musimy do ostatka zmobilizować.

USUNIĘCIE gruzów, czy ściany walącej się domu w Warszawie nie zawsze można odkładać na dzień następny i z fatalizmem oczekiwać, aż się ściana zawali i zagrzebie naszych bliźnich. Działania nasze określone zostały czasem i w tym czasie musimy je wykonać pod groźbą, że Plan, który sobie zarysowaliśmy, nie zostanie wykonany, to znaczy, że dłużej niż trzeba, będziemy niedojadać i marznąć, że dzieciom brak będzie szkół, chorym szpitali, a wiernym kościołów.

O TYM wszystkim pamiętać należy zawsze i codziennie. Kłody pod nogi, pracującym wytrwale rzucane przez pewnych ludzi, działających w ślepym zacietrzewieniu— muszą być odrzucone, jako jedna jeszcze przeszkoda na drodze, po której zdążamy.

Ci zaś, którzy te kłody rzucają, nie mogą się posługiwać jednym argumentem, tym, że działają w imię materialnych i duchowych potrzeb człowieka w Polsce. Te potrzeby bowiem zaspokoić będziemy mogli nie jałowym protestem przeciw wysiłkowi, ale właśnie wytężonymi wysiłkami.

Film TYGODNIA



Ostatnia niedziela września, miesiąca odbudowy Warszawy: premier Cyrankiewicz na czele pepesowców stolicy pracuje w łopatą w ręku.



Z wakacji z Arteku na Krymie powróciły dzieci. Toreska Lynda wita się z mamą.



Przew. KCZZ ob. Witaszewski wręcza nagrodę na najlepszy pamiętnik robotnika z okresu okupacji — ob. Walgowi Zenonowi z Wołowa woj. wrocławskiego (kamasznik zaw.).



Angielski min. Odbudowy Ailkin pod czas pobytu w W-wie, na konferencji z min. Kaczorowskim.



Bogate dary jesieni: wystawy pełne owoców.



Zwycięzca „Tour de Pologne" — Grzelak.

Fot. Film Polski

DZIEŃ SPÓŁDZIELCZOŚCI

Tegoroczny Dzień Spółdzielczości obchodzony był w całym kraju. Natężenie i powszechność manifestacji spółdzielczych przewyższała wszystkie dotychczasowe obchody tego rodzaju.

Stolica, wszystkie miasta i miasteczka barwiły się w tym dniu tęczą. Do obchodów, organizowanych przez starych spółdzielców oraz młodzież, przyłączała się żywiołowo ludność.

AKADEMIA CENTRALNA W STOLICY

Kulminacyjnym momentem uroczystości była Akademia Centralna w wielkiej sali „Romy" w Warszawie z udziałem Premiera Rządu — Cyrankiewicza.

NIE MA DEMOKRACJI BEZ SPÓŁDZIELCZOŚCI

Premier Rządu Cyrankiewicz, przemawiając z trybuny w „Romie", powiedział między innymi:

— Każdy spółdzielca musi czuć się niezbędną częścią szerokiego ruchu mas ludowych, walczących o demokrację polityczną i społeczną, bowiem ta walka przesądziła zarówno o niepodległości naszego kraju, jak i o rodzaju i treści postępowych przemian społecznych.

Nie ma realizacji dążeń wyzwoleńczych mas ludowych bez udziału w tej realizacji spółdzielczości, jako formy życia gospodarczego i jako idei.

Ale także nie ma możliwości pełnego realizowania idei spółdzielczej bez wywalczonych na szerszym niż spółdzielczość froncie reform ustroju nowej Polski, bez zwycięstwa i triumfu walki antykapitalistycznej, toczonej przez siły demokracji społecznej, przez socjalizm, przez partie, realizujące socjalizm.

W próbie doświadczeń hasło politycznej spółdzielczości okazało się pomyłką. W ustroju kapitalistycznym spółdzielczość może odgrywać dużą rolę, jako szkoła walki o demokrację gospodarczą, jako przygotowanie kadr demokratycznych działaczy gospodarczych, nigdzie jednak nie mogła zwyciężyć i nie zwyciężyła teoria spokojnego przerastania form kapitalistycznego wyzysku w formy demokratycznej gospodarki spółdzielczej.

Nie chodzi o upartyjnienie spółdzielczości, ale było i jest ważne jej upolitycznienie w sensie pełnego powiązania z budową i potrzebami Polski Ludowej.

Rozwój spółdzielczości zależy nie tylko od jej dynamiki, ale także od warunków ustrojowych, wywalczonych na bardzo szerokim froncie walki mas ludowych.

Spółdzielczość nie powinna widzieć i nie będzie miała nigdy wroga w lewicy. Spółdzielczość musi być częścią lewicy walczącej o lepsze jutro i lepszy ustrój.

Druga prawda, to konieczność dalszego usprawnienia wszystkich ogniw spółdzielczych, a co za tym idzie stopnia pożytku społecznego całego ruchu.

Trzecia prawda, to konieczność szerokiej mobilizacji mas wokół spółdzielczości i pogłębienia pracy ideologicznej, zwłaszcza wychowania młodzieży, jako nowych kadr spółdzielców jutra.

Minister Pracy i Opieki Społecznej nadesłał depeszę treści następującej:

Do
Prezydium Akademii Spółdzielczej
w Warszawie

Nie mogąc przybyć na Waszą uroczystość z powodu wyjazdu za granicę, przesyłam Wam w dniu Waszego Święta najserdeczniejsze pozdrowienia. Praca Wasza nad rozbudową i rozwojem spółdzielczości w Polsce odrodzonej jest jednym z najważniejszych elementów Jej gospodarczej i społecznej odbudowy. Bez rozwoju spółdzielczości odbudowa Państwa naszego byłaby niepełna, byłaby opóźniona, a Kraj nasz nie posiadałby właściwego oblicza i właściwej treści gospodarczej i społecznej. Spółdzielczość bowiem, którą realizujecie w codziennej pracy i w codziennym wysiłku jest nierozłącznie związana z tym wzorem demokracji ludowej, o który walczyły pokolenia mas pracujących Polski wsi i miast.

(—) Kazimierz Rusinek

POTĘGA RUCHU SPÓŁDZIELCZEGO NAJWAŻNIEJSZE ZADANIA

Prezes „Społem" J. Żerkowski mówił m. in. — Zbieramy się w tej sali rok rocznie z okazji Dnia Spółdzielczości, aby stwierdzić dokonane postępy i zastanowić się nad obowiązkami, jakie w najbliższej przyszłości ruch spółdzielczy ma wypełnić.

Jeżeli chodzi o rok ubiegły, to możemy z czystym sumieniem, a nawet z odcieniem dumy powiedzieć, że spółdzielczość w Polsce uczyniła znaczny krok naprzód na drodze do realizacji zadań w nowym ustroju Polski Demokratycznej. Mamy już w Polsce prawie dostateczną liczbę spółdzielni typu handlowego: spożywczych, rolniczo - handlowych, Samopomocy Chłopskiej. Cała Polska pokryta planową siecią spółdzielni mleczarskich. Brak jest tylko spółdzielni wytwórczych w miastach, niedostatecznie rozwinięty spółdzielczy przemysł rolny; są poważne luki w spółdzielczości mięsno - bekoniarskich, ogrodniczych i tp.

Zwiększa się i udoskonala spółdzielczy aparat handlowy. Mamy już w Polsce prawie 18.000 spółdzielczych punktów sprzedaży, w czym około 3.500 — to sklepy specjalne, branżowe. Coraz szerszy asortyment towarów ogarniają spółdzielnie. Istnieje ponad 4.000 spółdz. warsztatów wytwórczych na wsi i w mieście. Obroty spółdzielcze w roku ubiegłym wyniosły w hurcie 700 miliardów, w detalu 80. W roku bieżącym centrale gospodarcze dostarczą spółdzielniom towarów za około 150 miliardów złotych, zaś spółdzielnie będą mogły podnieść obroty do prawie 200 miliardów złotych.

Ilość członków spółdzielczości dosięga 4 mil. osób. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w pierwszym półroczu br., zapisało się do spółdzielczości nowych 660 tys. członków

Obserwowana dotychczas rozpiętość szybszego rozwoju gospodarczego spółdzielni a słabszego przyrostu członkowskiego — szybko wyrównowuje się.

Jako dowód szybkiego rozwoju zarówno gospodarczego jak i organizacyjnego może posłużyć spółdzielczość spożywców w Warszawie.

Rok temu przed Dniem Spółdzielczości — 6 spółdzielni rejonowych Federacja i KSSK — liczyły razem 160 sklepów — obecnie ilość punktów sprzedaży doszła do 260. Rok temu spółdzielnie te liczyły około 15 tysięcy członków obecnie liczba ta doszła do 45 tysięcy.

Przy dwukrotnym powiększeniu gospodarczym notujemy 3 krotny wzrost członkowski. Plany, by w Warszawie dojść do ilości sklepów spółdzielczych — 1 na tysiąc mieszkańców — są coraz bliższe.

W dniu wczorajszym uczestniczyliśmy w otwarciu pierwszego Spółdzielczego Domu Towarowego przy ul. Marszałkowskiej 8. W dziedzinie rozwoju branżowych sklepów został uczyniony w Warszawie pierwszy krok. Spółdzielczość w tej dziedzinie ma wiele do zdziałania — w sensie unowocześnienia handlu detalicznego.

Najważniejszym zadaniem spółdzielczości jest dostarczenie żywności ludności miejskiej. Śród artykułów żywnościowych pierwsze miejsce zajmuje mąka, chleb, mięso i nabiał. Wykonanie tego zadania zależne jest od dwóch warunków; po pierwsze od wzmożenia produkcji gospodarstw rolnych, po drugie — od szybkości rozbudowy spółdzielczości wiejskiej. Przechwytywanie od poszczególnych chłopów drobnych ilości produktów przez elementy spekulacyjne musi wreszcie ustać. Przed całą spółdzielczością, przed Związkiem Samopomocy Chłopskiej i przed aparatem państwowym stoi obowiązek dołożenia wszelkich starań, aby gospodarka rolna — poprzez spółdzielczość — weszła w orbitę planu gospodarczego. Gdy głównym odbiorcą produkcji rolniczej staną się spółdzielnie wiejskie — to na zasadzie cyklu spółdzielczego, wzrośnie znaczenie spółdzielczości miejskiej. Dla racjonalizacji obrotu zboże — mąka — chleb, jest konieczne, aby zarówno skup zboża, jak młynarstwo i piekarnictwo znalazło się w rękach spółdzielczych.

Chłop odda spółdzielniom produkt swej pracy, kiedy otrzyma wzamian poprzez spółdzielnie towary potrzebne jemu w domu i w rolnictwie. Dlatego wymiana towarów między wsią i miastem może odbywać się tylko poprzez spółdzielczy aparat handlowy i detaliczny. I to jest druga funkcja spółdzielczości.



Fot. Film Polski

Akademia w „Społem" w „Dniu Spółdzielczości"



WSPÓŁPRACA SPÓŁDZIELCZOŚCI Z HANDLEM PAŃSTWOWYM

Prezes Zw. Rewizyjnego Spółdz. R. P. — Pszczółkowski stwierdził między innymi, że Dzień Spółdzielczości obchodzimy w tym roku pod hasłem „Spółdzielczość realizuje gospodarkę planową". Jesteśmy właśnie w pierwszym roku realizowania planu 3-letniego. Stałe komunikaty z frontu pracy oznajmiają nam, że plan jest wykonany w więcej jak w 100 proc. w podstawowych gałęziach naszego przemysłu.

Walka o sprawiedliwy podział dochodu społecznego nie została zakończona. W znacznej części naszego handlu panuje jeszcze anarchia. Szczególnie na odcinku wymiany towarowej między wsią i miastem istnieje ogromna armia nieproduktywnych pośredników, tworzących długi i kosztowny łańcuch pośrednictwa.

Mimo osiągniętych dotychczas rezultatów w walce o uzdrowienie handlu istnieją jeszcze olbrzymie możliwości osiągnięcia oszczędności w kosztach obrotu i zaoszczędzenia wielu miliardów złotych na inwestycje i odbudowę naszej gospodarki oraz podniesienie realnych zarobków pracowniczych.

Ażeby osiągnąć te dalsze oszczędności, ażeby pogłębić dotychczasową akcję walki ze spekulacją, należy dążyć do dalszego rozwoju handlu państwowego i spółdzielczości.

PRACUJEMY U SIEBIE I DLA SIEBIE!

Sekretarz Generalny Zw. Zawodowego Pracowników Spółdz. — podkreśla, iż nowa Polska potrzebuje nowego człowieka, że spółdzielczość jest szkołą dla mas pracujących, jest gwarancją ich siły gospodarczej i twórczej inicjatywy.

(Dokończenie na str. 8)

Władysław Pawlak

UPADEK VICHY

NIEZNANY EPIZOD DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Czy można mówić o wyzwoleniu Vichy? Nazwa tego uzdrowiska tak splotła się z pojęciem haniebnej współpracy z hitlerowskimi Niemcami, że dni, w których na miejsce Niemców i wiernych Pétainowi oddziałów przyszły oddziały francuskiego Ruchu Oporu zasługują raczej na określenie „upadek".

Od świtu 6 czerwca 1944 roku, gdy oddziały Aliantów wylądowały na wybrzeżu Normandii, do chwili gdy sztandar trójkolorowy z krzyżem lotaryńskim powiał nad Vichy upłynęło 80 dni, ale już 75 dnia Pétain opuścił swoją rezydencję, aby udać się pod eskortą Niemców na północ Francji, a następnie w głąb Rzeszy.

Okres tych 75 dni i ożywiona działalność rozwijana w tym czasie przez Pétaina i jego otoczenie, zostały spisane przez b. posła szwajcarskiego w Vichy Walter Stucki*). Nazwisko jego wymawia się Sztukki i mimo pozorów nie ma nic wspólnego z Polską. Autor, nie kryjąc swoich sympatii osobistych dla Pétaina, stara się dać możliwie wierny obraz sytuacji. Wybraliśmy kilka najciekawszych epizodów, które charakteryzują dzieje upadku Vichy.

Pétain i Laval, zresztą przeważnie na własną rękę i bez wzajemnego uzgodnienia, postanowili szukać pomostu do drugiej strony, przy czym nie mogli się zdecydować, kto tę drugą stronę ma reprezentować. Wahali się między Amerykanami w osobie generała Eisenhowera i generałem de Gaullem, który w owym czasie cieszył się największym autorytetem wśród samych Francuzów. Największą trudność stanowił wyrok sądu wojennego, skazujący generała de Gaulle zaocznie na karę śmierci. Pétain, który zupełnie nie orientował się w sytuacji, sporządził własnoręczną notatkę, w której przeprowadził analizę wyroku. Oto jej treść:

Wyrok na generała de Gaulle był konieczny:

1) ze względu na dyscyplinę wojskową,

2) jako przykład odstraszający dla powstrzymania oficerów francuskich przed wyjazdem za granicę,

3) Jest rzeczą zrozumiałą, że ten wyrok zaoczny jest tylko formalny. Nie miałem nigdy zamiaru dopuścić do jego wykonania,

4) Jestem natomiast gotów przyłączyć się do aktu, który by ułatwił przywrócenie porządku we Francji i unię serc wszystkich Francuzów.

(—) Ph. Pétain

Deklaracja ta nie miała oczywiście żadnego praktycznego znaczenia. Dowodzi jednak jakie było nastawienie psychiczne Pétaina. Nie był on zresztą pod tym względem odosobniony. Dnia 14 sierpnia 1944 r., a więc na 6 lat przed wyjazdem Pétaina minister Stucki zapisuje w swym dzienniku:

„Według informacji udzielonych mi przez L.*) w otoczeniu marszałka zrodził się plan wysłania tajnego emisariusza do generała Eisenhowera i udowodnienie mu, przy pomocy tomu akt, że marszałek jest „résistant" (cudzysłów min. Stucki) Nr. 1. Przedstawiono mu następujący program:

1. Pétain utworzy nowy rząd, złożony z osobistości dogodnych dla Aliantów.

2. Pétain wypowie zawieszenie broni z Niemcami.

3. Pétain oddaje do natychmiastowej dyspozycji Aliantów oddziały wojskowe i policyjne, które są mu jeszcze wierne, np. „1-y pułk Francji", gwardię przyboczną itd.

4. Pétain ogłasza powszechną mobilizację.

5. Pétain zwróci Zgromadzeniu Narodowemu pełnomocnictwa otrzymane w czerwcu 1940 r. jako szef państwa.

6. Trzeba za wszelką cenę doprowadzić do spotkania Pétain — Eisenhower".

Nie sposób w tym miejscu przytoczyć wszystkich mniej lub więcej sensacyjnych planów, jakie rodziły się w głowach kolaboracjonistów z Vichy z chęci uratowania własnej skóry.

Gdy otoczenie Pétaina stawiało wyłącznie na jego osobę, Laval działał na własną rękę. Tego samego dnia Stucki zapisał na ten temat:

„Powiedziano mi również jako rzecz bardzo poufną, że Laval wyjechał przedwczoraj z Paryża do Nancy i powrócił do Paryża z byłym przewodniczącym parlamentu Herriotem. Na zapytanie, czy Herriot rzeczywiście żyje, gdyż gazety podały wiadomość o jego śmierci, odpowiedziano mi z uśmiechem, że to wszystko było bluffem, i że udało się w ten sposób oszukać Niemców. Laval ma widocznie zamiar dokonać wraz z Herriotem jakiegoś „coup" parlamentarnego".

Epizod z Herriotem należy do dosyć tajemniczych. Stucki, którego interesuje głównie osoba Pétaina, nie wyjaśnia bliżej roli Herriota, chociaż przytacza dosłownie raport szwajcarskiego attaché wojskowego, który bawił w tym okresie w Paryżu. Szwajcarski pułkownik de Blonay raportował m. in.:

„Herriot znajduje się u Lavala w hotelu Matignon".

Odnosi się to do dnia 16 sierpnia 1944 r. Następnego dnia radca ambasady niemieckiej w Vichy von Struve poinformował posła szwajcarskiego, że „Herriot i Laval przygotowują za zgodą władz niemieckich, zwołanie francuskiego Zgromadzenia Narodowego do Wersalu".

Z innej strony jeszcze wcześniej Stucki otrzymał informacje, że „dawni parlamentarzyści są przeciw ni zwołaniu Zgromadzenia Narodowego. Zresztą Herriot nie posiada prawa zwołania parlamentu".

Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że Laval chciał się ratować za plecami Herriota. Ten zaś wyciągnięty z ukrycia, a znajdując się w zasięgu Niemców, zmuszony był grać na zwłokę.

19 sierpnia 1944 r. Paryż został wyzwolony. Tego samego dnia niemiecki generał von Neubronn, komendant Vichy, prowadził uciążliwe pertraktacje z Pétainem domagając się, aby niezwłocznie wyjechał do Belfort, gdzie znajdował się już Laval. Zgodnie z obraną taktyką Pétain odmawiał, oświadczając, że stawi opór. Nie wiadomo dlaczego poseł szwajcarski, działający w charakterze dziekana korpusu dyplomatycznego, uważał, że takie postępowanie może okryć Pétaina śmiesznością. Pragnął, aby zostały zachowane pozory użycia przemocy przez Niemców, bez rzeczywistego uciekania się do siły.

Doszło do rozmowy między gen. von Neubronn i ministrem Stucki. Podajemy jej przebieg w relacji tego ostatniego:

„Rozmawiamy spokojnie i obiektywnie o sytuacji. Ponieważ (von Neubronn) sądzi, że wystarczy wysłać jednego z oficerów jutro przed 7 rano, uważam za mój obowiązek ostrzec go, jaką sytuację zastanie nazajutrz. Chodzi o uniknięcie rozlewu krwi. Gwardia będzie miała rozkaz niepodejmowania inicjatywy, ale odpowie na strzały. W takich chwilach wielkiego napięcia nie wolno pozostawiać niczego przypadkowi, mogłoby się bowiem łatwo wydarzyć poważne nieszczęście. Proszę go usilnie, aby nie opuszczał pod żadnym pozorem dzisiejszego wieczoru Vichy, lecz przeciwnie, aby jeszcze dziś upewnił się, że narzędzia potrzebne do wyważenia drzwi i krat żelaznych zostaną przygotowane i aby osobiście znalazł się na miejscu. Zapytuję, czy obie strony nie mogłyby zrezygnować z nabicia karabinów i broni maszynowej. Major von Lutitz gorąco popiera ten pomysł, a generał w zasadzie się zgadza".

Nazajutrz, 20-go sierpnia, wszystko odbywa się według zgóry ukartowanego planu. Oto sprawozdanie posła szwajcarskiego:

„Dowiedziałem się od adiutanta generała niemieckiego, że atak na Hotel du Parc (siedziba Pétaina) został wyznaczony na 6.45 i udałem się nieco wcześniej na miejsce. Hotel jest otoczony przez SS. Dzięki specjalnej przepustce, w którą się zaopatrzyłem, przepuszczają mnie do środka. Obrotowe drzwi wejściowe są zabarykadowane od wewnątrz i strzeżone przez trzech żołnierzy straży przybocznej marszałka. Znają mnie, więc pozwalają mi przejść. Obie dość masywne kraty wewnętrzne na parterze i między drugim a trzecim piętrem są zamknięte i strzeżone. Pozwalają mi jednak przejść i znajduję się w ten sposób w poczekalni wśród grupy ważnych osobistości oczekujących przed apartamentem marszałka. O 6.48 widzę z balkonu, jak przed hotelem zatrzymuje się kilka niemieckich aut ciężarowych. Wysiada oddział złożony z 35 żołnierzy pod dowództwem majora i domaga się wpuszczenia do wewnątrz. Ponieważ nikt nie odpowiada, odpychają strażników i przy pomocy kolb i łomów żelaznych wyważają drzwi".

Tu następuje dalszy szczegółowy opis kolejnego wyważania poszczególnych zamków i drzwi, aż wreszcie, wobec odmowy otwarcia drzwi prowadzących do sypialni Pétaina, zjawia się na scenie sam gen. von Neubronn. Następuje kolejne wyważenie drzwi i uplanowana rozmowa:

Von Neubronn: „Wiadomo panu, panie marszałku, w jak przykrej misji jestem u pana".

Pétain: „Wiem, że jestem pańskim więźniem".

Pétain ubiera się, zjada śniadanie i o godzinie 7.45 odjeżdża w towarzystwie Niemców.

Dzieje polityczne Vichy zakończyły się jak kiepska farsa. Uzdrowisko pozostało przez kilka dni bezpańskie. Dopiero 26 sierpnia 1944 r. wkroczyły doń pierwsze oddziały partyzantów francuskich.

*) Walter Stucki, Von Pétain zur I. Republik Herbert Lang et Cie. Bern.

*) Lagarde, dyrektor departamentu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Vichy.

KĄCIK JĘZYKOWY

IDIOMATY

Oto parę kwiatków z pism polskich, nawet z tak poważnego miesięcznika, jak „Twórczość", która ma dosyć czasu i tęgich redaktorów, żeby dopilnować poprawności językowej w swych artykułach:

1. ZNAJDUJECIE, że moje małżeństwo jest szczęśliwe? (galicyzm albo rusycyzm; po polsku: uważacie, sądzicie, twierdzicie).

2. OPUŚCIŁEM SIĘ o piętro niżej (zszedłem, zstąpiłem).

3. TYM NIEMNIEJ Anglia odczuwa brak papieru (rusycyzm; po polsku: nie mniej).

4. Pisał wyrazy Z WIELKIEJ LITERY (rusycyzm; po polsku: dużą literą, wielką literą, od dużej litery).

Są to barbaryzmy, których się dopuszczamy nie w słownictwie, lecz w składzie, w budowie zdań, wypowiedzianych nawet często polskimi słowami, lecz skonstruowanych nie wedle właściwości języka polskiego, ale naśladujących zwroty językowe obce.

Każdy język odznacza się tym, co zwykliśmy nazywać DUCHEM JĘZYKA: jest to jemu tylko właściwy sposób wypowiadania myśli i wiązania ich w zdania. Te osobliwości każdego języka bywają niekiedy tak dalece znamienne i charakterystyczne, że stają się nawet nieprzetłumaczalne dosłownie na inny język. Otrzymują one wówczas nazwę idiomatów, od wyrazu greckiego „idioma", co znaczy: odrębność, osobność, samoistność. Francuz np powie: „j'ai passé une nuit blanche", co by dosłownie znaczyło: „spędziłem noc białą". Jest to idiomat. A znaczy po prostu: noc bezcenną, przy świetle. Niemiec powie: „wie alt ist der Knabe? — jak stary jest ten chłopiec? — co znaczy: ile ma lat? Rosjanin powie: „wypisat' towar iz za granicy", co nie znaczy wypisać towar — tylko: amówić towar, sprowadzić towar.

Polszczyzna ma mnóstwo idiomatów, nadających jej barwność i obrazowość. Niesposób przełożyć dosłownie na języki obce takich np. zwrotów naszych: smalić cholewki, iść w koperczaki, kibić jak biczem przecięta, dać nogę, wtrącić swoje trzy grosze, wziąć nogi za pas itd., itd. Gdybyśmy zdanie: „chłopcy wzięli nogi za pas" przetłumaczyli dosłownie po rosyjsku: „malcziki wziali nogi za pojas", byłoby to takim samym nonsensem, jak nonsensem właściwie jest, gdy powiemy po polsku: „przyjęliśmy udział w zebraniu" („my prinjali uczastje"). Tylko, żeśmy się już do tego nonsensu przyzwyczaili, jak Polacy w Poznańskim przywykli do wyrazu „skrzydło" na oznaczenie fortepianu (niemieckie „der Flügel" — skrzydło i fortepian).

Po polsku nie można powiedzieć: przyjąć udział; można kogoś przyjąć u siebie, przyjąć kogoś w domu. Udział się w czymś BIERZE. A więc: wzięliśmy udział w zebraniu, bierzemy udział w rozmowie, weźmiemy udział w zabawie. Mówimy np. „jakby to nie było, trzeba tę sprawę załatwić". I to jest rusycyzm: „kak by to ni było". Po polsku: cokolwiek bądź, albo jak kolwiek bądź, albo bądź co bądź trzeba tę sprawę załatwić. Jedna z nowel Żeromskiego nosi po rosyjsku piękny, rdzennie rosyjski tytuł: „Cztob ni sluczylosj". Po polsku Żeromski nie nadał jej bynajmniej tytułu: „Co by się nie stało", ale: „cokolwiek się zdarzy".

Tego rodzaju, co przytoczone powyżej dla przykładu, barbaryzmy w składni, gwałcące ducha języka, łamiące jego prawa, stanowią znacznie poważniejsze wykroczenia przeciw czystości i poprawności języka, niżeli barbaryzmy wyrazowe w rodzaju: anulować czy reżim albo admonicja. Albowiem każdy język jest odrębnym organizmem i na tym piękno i bogactwo każdego języka polega.

BAKAŁARZ

JÓZEF BARTOSIK
Kapitan Marynarki Wojennej

Naturalnym przeznaczeniem okrętu jest walka z podobnym do niego okrętem nieprzyjacielskim. W tej jednak wojnie najczęściej bywało inaczej. Bezpośrednie spotkanie flot na miarę bitwy Jutlandzkiej nie zdarzyło się ani razu. Najwięcej okrętów ginęło od bomb i torped. Była to nierówna walka. Okręt czuł się w niej upośledzony. Nie tylko dlatego, że przyszło mu ją toczyć w obcym dla niego żywiole, stopniowo bowiem wyposażono go w coraz to lepsze aparaty ostrzegawcze i coraz skuteczniejsze działa przeciwlotnicze. Wprawdzie dzięki jego wyposażeniu z dniem każdym rosła ilość zniszczonych samolotów i okrętów podwodnych, lecz marynarz zawsze traktował te sukcesy po macoszemu, pół obojętnie. Stanowiły one dla niego zawsze jakąś namiastkę. W jego przekonaniu prawdziwy laur morski zdobywał dopiero ten, kto z równym sobie przeciwnikiem wziął się za bary, i na podobnej beczce prochu siedząc, dokładniej celował, szybciej gasił pożary, sprawniej łatał dziury. A nade wszystko, kto na szachownicy morza lepiej operował falą i wiatrem, odblaskami zachodzącego słońca, doświadczeniem wieków. Dopiero przeciwnik, który po takiej walce pozostał na powierzchni, był w pojęciu marynarza prawdziwym zwycięzcą.

Tak się złożyło, że ORP „Błyskawica" — na której pokład został autor tego opowiadania przeniesiony w lecie 1943 roku — wypełniła swą księgę działań wojennych długimi kolumnami zestrzelonych samolotów, zatopionych okrętów podwodnych, nawet rozbitych na lądzie czołgów i dział. Przez pięć lat jednak los odmówił jej lauru morskiego spotkania.

Aż przyszła wreszcie ta chwila. Przyniosła ją inwazja Europy. Od dwóch dni wojska sojusznicze lądowały już na plażach Normandii.

Na morzu inwazja rozpoczęła się znaczenie wcześniej. Już od kilku miesięcy trwała na nim zacięta walka o panowanie nad każdą francuską zatoką i każdym szlakiem przybrzeżnym. Główny ciężar pracy spadł przy tym — jak zwykle — na kontrtorpedowce. Co wieczór, przed zapadnięciem zmroku, wymykały się one z portów angielskich grupami, po trzy, cztery — i szły na południe. Całą noc spędzały na patrolu pod zaciemnionymi brzegami Francji. Wkrótce olbrzymia przestrzeń morza pomiędzy plażami Dunkierki a hiszpańską granicą zamarła zupełnie.

Pod koniec wiosny wchodziliśmy już na zamknięte wody wewnętrzne, pomiędzy wyspami Jersey i Guernsey, tuż pod boje Saint Malô. Nieraz w ciemnościach wydawało się nam, że widzimy zarysy Saint Michel.

Od czasu do czasu siły niemieckie, bazujące w Breście, wypływały na nasze spotkanie. Dochodziło wtedy do krwawych starć, okupowanych ofiarami po obu stronach. Niemcy byli w tych rejonach silnym przeciwnikiem, zwłaszcza, że dysponowali okrętami klasy „Narvik". Były to olbrzymie kontrtorpedowce, nieomal lekkie krążowniki, uzbrojone podobno nawet w sześcio-calowe działa. W porównaniu z nimi siła ogniowa naszych okrętów była znacznie mniejsza.

Ilekroć wyznaczono nas na patrol, zdawaliśmy przed wyjściem z portu wszystkie nasze tajne książki na ląd, na przechowanie, aby w razie nieszczęścia nie wpadły w ręce niemieckie. Zwłaszczą na jednej z nich nam zależało. Była większego rozmiaru, niż inne, gruba jak mszał, oprawiona w niebieskie, ołowiem obciążone okładki. Na czołowej jej stronie mieścił się napis: „Top secret". Tę księgę wolno nam było otworzyć dopiero po otrzymaniu sygnału: „Operacja Neptun" — wykonać. Prywatnie, w zaciszu kabin, domyślaliśmy się, że operacja ta, to tak zwany „drugi front". Inna sprawa, że skwapliwe wywożenie ksiąg na ląd miało w sobie coś z nastroju przy kopaniu własnego grobu.

Lecz teraz, od dwóch dni niebieska owa księga leżała przed nami, otwarta na oścież. Pierwsza poinwazyjna noc minęła dla nas bez wydarzeń. Admirał niemiecki w Breście obliczył widocznie, że we wczesnej, niewątpliwie bardzo pilnie strzeżonej fazie walki, nie opłaci mu się ryzykować przedzierania do plaż Normandii. Wolał zachować swe siły na bardziej stosowny moment. Wtedy dopiero rzuci do walki wszystkie swe siły. Przed oczami swymi widział długie kolumny barek, kryp i statków, cyrkulujących kilkoma niekończącymi się łańcuchami pomiędzy Solent, a zatoką Sekwany i masakrę, w jaką sześciocalowe działa jego „Narvików" zapędzą to mélée. Był pewien, że gdy stosowna chwila nadejdzie, jednym zakosem zamieni rajd normandzki w drugą Dunkierkę.

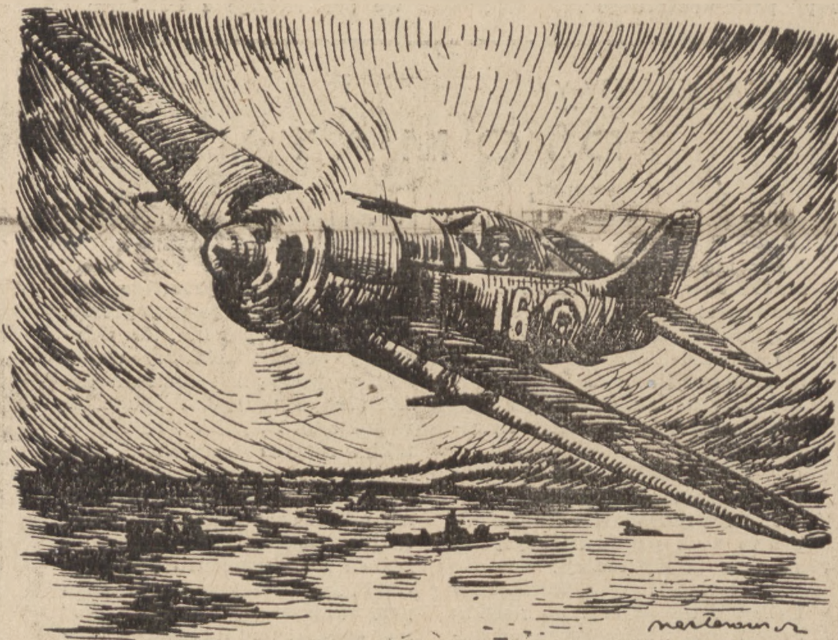
Na drodze ambitnych planów Niemca, pomiędzy nim, a plażami, stała wówczas jedyna przeszkoda: — flotylla naszych kontrtorpedowców z Plymouth. Toteż nieprzyjaciel postanowił ją zlikwidować. Z naszej strony rozkazy były proste: — „Sink, burn and destroy — let nothing pass".

Kończyliśmy już drugi dzień patrolu, gdy przed zachodem słońca otrzymaliśmy sygnał radiowy z admiralicji, iż samolot koło Brestu zauważył pięć okrętów nieprzyjacielskich, idących kursem na zachód. Poza tym depesza nie zawierała ani słowa o szybkości, pozycji, lub typie owych okrętów. Byliśmy pewni, że się o tym dowiemy, gdyż po zapadnięciu zmroku Niemcy i tak ku nam zawrócą. W tej chwili dzieliła nas od nich przestrzeń dwustu mil. Ale kanał jest prawie sto mil szeroki! Można więc na siebie trafić!

Noc była pogodna, ciepła. Okręty nasze, wyciągnięte w szyk torowy, podążyły maksymalną szybkością na zachód. Szliśmy równolegle do wybrzeża Bretanii w odległości dziesięciu do piętnastu mil. Od czasu do czasu, w górze, nad masztami, rozlegał się warkot motorów: — Niemcy nas szukali. Wiedzieliśmy na pewno, że to oni, bo uprzedzono nas, że własne samoloty nie będą tej nocy latały. Dowodzący nami z lądu admirał brytyjski w Plymouth zostawił nam czyste pole walki.

Na okręcie nikt nie spał. Od zmierzchu szliśmy w alarmie bojowym. Minęła godzina, potem druga, lecz nieprzyjaciela ciągle nie było widać. Czasem tylko przy naszych działach rozlegał się stuk zamków. To obsługi upewniały się, że wszystko w porządku.

Przechodziliśmy już blisko lądu. Z dala nad ciemną wstęgą skał błyskało światło latarni. Nigdy nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego Niemcy je palili.



Rys. M. Nesterowicz

Samolot koło Brestu zauważył pięć okrętów nieprzyjacielskich

Przecież chyba nie dlatego, by nam pomagać. Patrząc na nie, wspominaliśmy znajome zarysy latarń Sainte Vierge i Sept Isle, do których w ciągu ostatnich miesięcy zbliżaliśmy się prawie co noc.

Było już po północy, gdy docieraliśmy do zachodniej granicy patrolu. Mniej więcej za dwadzieścia minut miał nastąpić zwrot na przeciwny kurs — z powrotem na wschód. Poza wysokość Brestu nie mieliśmy zamiaru wybiegać.

W międzyczasie pogoda zaczęła się wyraźnie psuć. Widoczność spadła, zrobiło się ciemno i chłodno. W pewnej chwili w głośniku usłyszeliśmy gwizd. Idący na czele szyku „Tartar", okręt dowódcy flotylli, donosił, że dokładnie na kursie, na krawędzi swej skali — ma kontakt. Niedługo potem nasz własny radar potwierdził tę obserwację. Było pięć ech i wszystkie szły na nasze spotkanie. Szybkość zbliżania się była wysoka.

Natychmiast po wszystkich pomieszczeniach, wodoszczelnych przedziałach i kabinach zabrzmiały krótkie dźwięki alarmowych klaksonów. Drgnęły wieże działowe. Wszystkie lufy skierowały się przed dziób, wycelowane w jeden, niewidoczny dla oka, punkt. W głębi okrętu, pod pokładam., w ruch poszły centrale, przekaźniki drgnęły dziesiątki wskazówek i setki zegarów. W niecałą minutę okręt poderwał się na nogi i stanął gotowy do walki.

Tymczasem radar spokojnie podawał odległość. Zmniejszała się szybko, była już nawet denerwująco mała, gdy raptem, w okolicy siedmiu tysięcy przestała maleć. Wiedzieliśmy, co to znaczy: — Niemcy zawracali, aby strzelić do nas swe torpedy — po ciemku na radar! Zresztą na sekundę przed tym, inny głośnik, nastrojony na częstotliwość niemieckiego radiotelefonu, powtórzył wyraźnie ostrą, krótką komendę: — „Achtung — Torpeden"! A potem trzykrotnie wrzasnął: „Feuer, Feuer, Feuer!"

W zupełnych ciemnościach waliły teraz ku nam niemieckie torpedy. Bóg jeden wie, ile ich było: trzydzieści, może czterdzieści — cała ławica!...

Wykonaliśmy krótki zwrot unikowy. Najpierw jeden, potem drugi. W ciemnościach rozległo się przed dziobem echo pojedyńczego strzału. To „Tartar" rozpoczynał oświetlanie. Jednocześnie radio powtórzyło rozkaz: — „Open fire".

Walka została rozpoczęta.

Przywarliśmy do dział. Torpedy musiały być już teraz bardzo blisko. Upłynęło jeszcze kilka sekund i pierwszy pocisk „Tartara" zapalił się. Trochę na lewo od dziobu, tuż na linii luf, zajaśniał w górze, jak gwiazda. W jego blasku, na powierzchni morza wyrosła nagle na tle ciemności potężna, fioletowa skała. Była diabelnie blisko. Zdawało się, że lada moment zderzymy się z nią. Tak, niemiecki „Narvik" szedł burtą do nas. Widzieliśmy niemal ludzi na jego pomoście, a ponadto, wszystkie jego działa, wycelowane ku nam. Nikomu z nas nigdy przedtem ani przez myśl nie przeszło, że znajdzie się kiedykolwiek tak blisko wylotów nieprzyjacielskich luf.

W tym samym momencie „Błyskawicą" targnął potężny wstrząs — nasze działa strzelały. Odpaliły całą baterią — wszystkie na raz. Na chwilę dym zasłonił widok. Nim się rozwiał, u wylotów wież „Narvika" zerwały się krótkie, ostre błyski. To nieprzyjaciel strzelał do nas również salwami. Wkrótce po obu naszych burtach wyrosły olbrzymie wody, rzucając długi cień na poświatę. Równocześnie zasłoniły przeciwnika. Ryk pękających pocisków i świst odłamków zagłuszyły wszystko, przygniotły swym impetem. Kiedy słupy wodne, kurcząc powoli swój ponury cień opadły, na ich miejsce zjawiła się znowu migotliwa, pomarańczowa poświata, a na jej końcu — strzelający „Narvik". W oszołomionej świadomości błysnęła krótka myśl. — „Niemcy mają nakrycie w pierwszej salwie!"

Efekt sześciocalowych pocisków nieprzyjaciela był poważny. Zwłaszcza, że strzelano do nas z kilku kierunków. Widocznie i inne niemieckie „Narviki" nieobjęte smugą światła, obrały sobie „Błyskawicę" za cel. Byliśmy pewni, że to znowu ten szatański, olbrzymi jej komin tak nas wyróżnia. Może dzięki niemu brali nas za krążownik.

Bój rozpętał się tymczasem na całej linii. Wzdłuż obu szyków, raz po razie, rozdzierały ciemność błyski intensywnej strzelaniny. Zawrzała walka na śmierć i życie. Przed naszym dziobem rysowały się dwa cienie. Lewy z nich, bliższy, to „Tatar". Widzieliśmy, jak w pewnej chwili zmienił ostro kurs i poszedł wprost na nieprzyjaciela. Całą szybkością pędził teraz na zderzenie z czołowym, niemieckim okrętem. Jakby nie widział wyrastających dokoła coraz gęstszych kolumn wodnych, jakby nie słyszał detonacji. Niemcy przeniknęli jego zamiar i z sąsiednich okrętów przerzucili na niego ogień. Ilość kolumn dokoła „Tartara" podwoiła się, potroiła. Anglik szedł na pewną śmierć. A jednak, nie zważając na nic, ładował z morderczej odległości jedną salwę za drugą, w rufę pierwszego „Narvika". Wkrótce przeszedł tuż za nim, odcinając niemieckiego admirała od reszty szyku.

W naszych oczach — w epoce radaru i turbin „Tartar" zastosował dosłownie tę samą taktykę, która sto pięćdziesiąt lat temu zadecydowała o zwycięstwie pod Trafalgarem. Jak wtedy, tak i tutaj pociągnęła ona za sobą duże ofiary. Jedna z salw niemieckich rozsadziła „Tartarowi" pół pomostu, zabijając na miejscu wielu ludzi. Sam jego dowódca został ranny, pierwszy artylerzysta zabity, dalocelownik zniesiony. Mimo to działa „Tartara", chociaż inną, bardziej prymitywną metodą, jednak w dalszym ciągu nie prze-

siały strzelać. Gdzieś, za jego kominem, buchały płomienie, nad nim unosiły się kłęby pary. Widać było, że okręt zwolnił biegu. Szedł teraz równolegle do swego przeciwnika, bardzo blisko niego. Niestety, w nierównym artyleryjskim pojedynku trafiony okręt brytyjski nie miał żadnych szans. Życie jego obliczaliśmy na sekundy.

W tej sytuacji z odsieczą nadszedł ktoś inny — następny z szyku okręt: H.M.S. „Ashanti". Kładąc gęstą zasłonę dymu z kominów i fumatora, wysunął się powoli naprzód, wbijając się klinem pomiędzy „Tartara" i Niemca. Cały ogień nieprzyjaciela przerzucił się teraz na niego — z niewiarogodnej odległości, może półtora kabla. Stopniowo jednak dziób „Ashanti" wysunął się przed linię walczących. Nagle czerwona od wybłysków sylwetka „Ashanti" pochyliła się na burtę, jakby wykonując energiczny zwrot. Jednocześnie przez radio zabrzmiał krótki meldunek: — „Strzelam torpedy". Zanim jeszcze te słowa umilkły, już w miejscu, gdzie płynął „Narvik", nastąpił olbrzymi wybuch. Na chwilę oślepił nas ogromny błysk, zakrywając wszystko — okręty walczące, morze i niebo. Momentalnie czerń nocy zamieniła się w purpurę. Na tle płonącej czerwieni mogliśmy ujrzeć tylko jedno: rwące ku górze jasne, pomarańczowe smugi. Ryk detonacji był tak potężny, że okręt nasz trząsł się przez kilka sekund. Był to chyba największy wybuch, jaki kiedykolwiek przeżyliśmy. Tak skończył swe życie niemiecki okręt admiralski, a wraz z nim trzystu jego ludzi. Widocznie torpedy „Ashanti" trafiły w komory.

Tymczasem po naszej lewej burcie, bój trwał z niesłabnącym natężeniem. Pozostałe cztery niemieckie „Narviki", niezrażone stratą dowódcy, parły wciąż na wschód. Toczyliśmy teraz z nimi zacięty pojedynek artyleryjski. Przeciwnik „Błyskawicy" płynął jako drugi z kolei w niemieckim szyku. Miarowo, co kilka sekund, tak szybko, jak tylko mięśnie ładowniczych przy działach nadążyć mogły, targało pokładem kopnięcie sześciu „setek" na raz. Jedynie tylko lufy działa Nr. 2 strzelały wolniej, jakby jakoś nie w takt i bardziej miękko. Było to działo „oświetlające".

Nieprzyjaciel pokrył nas swym ogniem wcale skutecznie. Wprawdzie do tej pory cudem uniknęliśmy trafienia, lecz w żaden sposób nie mogliśmy zrzucić z siebie „nakrycia". Nie pomógł nam wiele ani dym, ani uniki. Co kilka sekund oszałamiające detonacje szczelnie wypełniały przestrzeń dokoła „Błyskawicy", zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie burty, przed dziobem, jak i za rufą. Ich ryk paraliżował słuch, tłumił telefony. W dodatku, tuż nad naszymi głowami zjawiła się mgławica błysków i rozległ się przeciągły terkot wybuchów. Byliśmy tak blisko przeciwnika, że ostrzeliwał nas on teraz z broni maszynowej. Walka stawała się coraz trudniejsza. Zresztą, wcześniej, czy później, mógł ją wygrać tylko Niemiec:— jego przewaga ogniowa nad nami była przygniatająca.

W takich okolicznościach musieliśmy sięgnąć po broń, której flotylla niemiecka nie posiadała, lekkomyślnie wyzbywszy się jej w pierwszych chwilach spotkania. Były nią — torpedy. Całą ławą poszliśmy teraz na Niemców — wszystkie okręty. Jednak nieprzyjaciel spostrzegł się w porę. Wolał nie ryzykować. Wolał nie dopuścić nas do strzału, wykonując głęboki unik. Gdy powrócił na kurs, powtórzyliśmy atak i tym razem przyparliśmy go „do muru". Atak nasz wypadł bowiem w miejscu, gdzie na mapie, zaznaczone czerwonym tuszem, widniało niemieckie pole minowe. Nie mając wyjścia, okręty nieprzyjacielskie co rychlej rozerwały swój szyk: — dwa z nich, czołowe, popędziły na wschód, pozostałe zaś dwa zawróciły, odciągając za sobą część naszych kontrtorpedowców w kierunku Brestu.

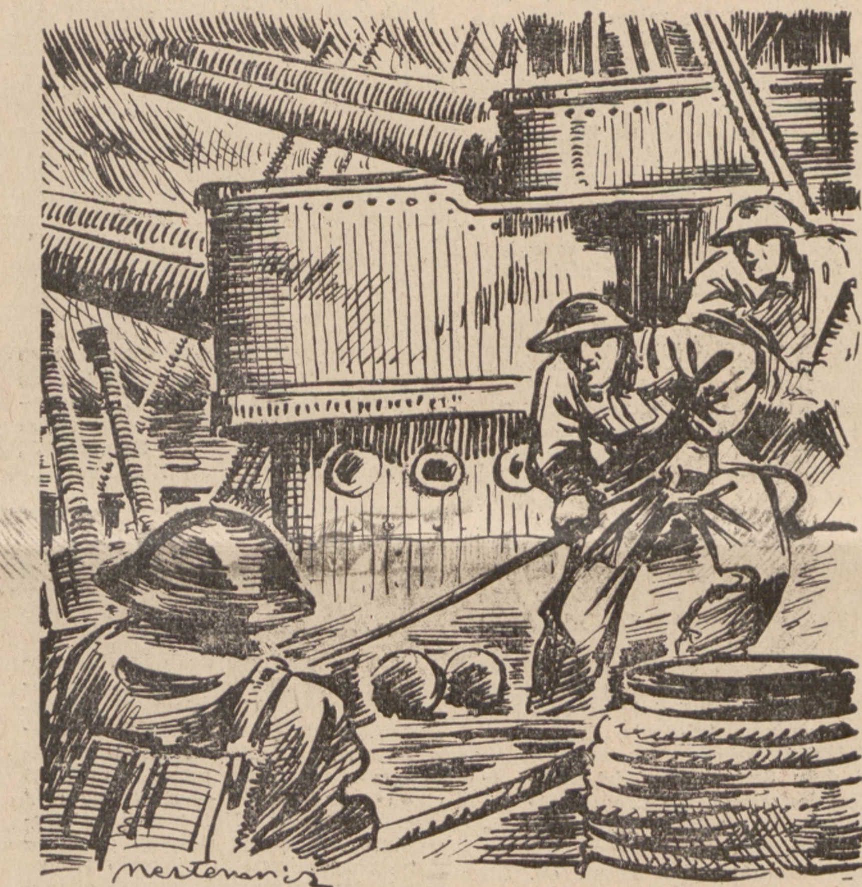
Z tą chwilą straciliśmy obraz całości. Odtąd, do końca nocy, po jednej, jak i po drugiej stronie, nikt go już nie odzyskał. Skończyło się jednolite dowodzenie akcją. Walka w ciemnościach nocy przerodziła się w serie pojedynków i pogoni okrętu za okrętem. Niekiedy dwa z nich uganiały się za jednym, czasami własne okręty strzelały nawzajem do siebie. W różnych punktach horyzontu błyskały łuny wystrzałów, to znów ze wszystkich stron dochodziło dudnienie wybuchów i detonacji. Nikt już nie wiedział, które z nich wtedy należały do nieprzyjaciela, które zaś do własnych okrętów.

Wspólny nasz i naszego sąsiada przeciwnik nie uniknął jednak śmiertelnego ciosu. Był już po zwrocie i na nowym kursie, gdy rozbłysła nad nim podwójna, oślepiająca łuna. Jedna z naszych torped trafiła widocznie w jego zbiorniki, bo siła eksplozji rozrzuciła płonącą ropę po całym okręcie. Wydawało się nam teraz, że strzelamy do ściany płomieni. Paliło się wszystko: — pomost, wieże, burty. Jakby w ogniu zajęło się całe żelastwo.

Gdy podeszliśmy bliżej, podwójna dziobowa wieża niemieckiego „Narvika" leżała nieruchoma, milcząca, wykręcona na przeciwną burtę. Mimo to, inne na nim działa odgryzały się jeszcze. Nie strzelały już jednak salwami, ale pojedyńczo, nieregularnie. Najenergiczniej ujadały ciągle „Boforsy". W każdym bądź razie było to beznadziejne poświęcenie, Niemiec bowiem był już właściwie płonącym wrakiem. Wreszcie, po którejś z naszych salw, jego kadłub drgnął nagle, równocześnie zaś z daleka doszedł nas trzask pękających wzdłużnic: — „Narvik" złamał się. W naszych lornetkach widzieliśmy skaczące do wody postacie. Podwodna, czerwoną minią malowana część kadłuba, zasłaniała przed nami grzywę płomieni, w których dogorywał okręt. Jej czerwona powierzchnia zlewała się z poświatą pożaru, nadając wrakowi charakter olbrzymiej, purpurowej plamy. W końcu, wśród kłębów pary i syku ognia podłużne cielsko niemieckiego okrętu zsunęło się rufą pod wodę, zadzierając wysoko ostry cień dziobu. Niebawem wszystko ucichło — znikły płomienie, zapadła ciemność.

Świeciliśmy jeszcze przez kilka sekund. Na powierzchni morza nic pozostało nic, prócz swędu spalenizny i wielkiej, oliwnej plamy, która wyglądała jak rozsypana po wodzie sadza. Na ratowanie rozbitków nie mieliśmy czasu. Przecież z tyłu, za nami, trwał bój. Tam było miejsce dla naszych ośmiu luf.

Niestety, widoczność w międzyczasie pogorszyła się znacznie. Nie widzieliśmy już na horyzoncie ani wybłysków, ani łun. Odgłosy walki zdawały się przy tym dochodzić z bardzo daleka. Wybraliśmy najbliższe z nich. Uszliśmy tym kursem może ze dwadzieścia minut, gdy nasz „Radar" zameldował echo: — „Pojedyńcze, na prawo dwadzieścia". Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, kto by to był: któryś z własnych okrętów, czy nieprzyjaciel. Zbliżaliśmy się teraz do siebie gwałtownie. W radiostacji włączono radiowe aparaty rozpoznawcze. Nie dały jednak rezultatu. Tymczasem pędziliśmy na siebie z załadowanymi lufami, gotowi do strzału za najmniejszym błyskiem przed dziobem.



Rys. M. Nesterowicz

Od zmierzchu szliśmy w alarmie bojowym

Odległość wynosiła już tylko cztery i pół tysiąca, gdy na tle ciemnego horyzontu wyrosła przed nami jeszcze od niego ciemniejsza — sylwetka okrętu. Kiedy artylerzysta z dalocelowniczej wieży zameldował, że działa są na celu, zaczęliśmy raz jeszcze wzywać okręt dyskretnym reflektorkiem sygnałowym. Jego sylwetka milczała jednak, jak zaklęta. Mieliśmy całkowite prawo otworzyć ogień. Mimo to, jakieś wewnętrzne przeświadczenie kazało nam chwycić się jeszcze jednego, ostatniego środka: — zapaliliśmy światła bojowe. W górze, nad głową, na rei masztu, zajarzyły się dwa czerwone i dwa zielone światełka. Pedał dźwigni daloodpalania drgnął nieznacznie. Wtem na tle cienia błysnęło światło.

— „Tartar"!—odetchnęliśmy z ulgą.

Dzielny inwalida wlókł się powoli, zataczając szerokie zygzaki. Prosił, by nie przechodzić blisko niego, gdyż ma uszkodzony ster, a na kursie utrzymuje się jedynie przy pomocy maszyn. W ciemną noc jego zarysy przedstawiały smutny widok. Oczom naszym ukazał się rozpruty pomost, powykręcane blachy komina i ciężki, zwalony na burtę, krzyż masztu. Wymieniliśmy z sobą kilka sygnałów. — „Tartar" życzył nam powodzenia w dalszej walce.

Jego kontury rozpłynęły się już w ciemnościach za rufą, gdy któryś z naszych obserwatorów zauważył światło przed dziobem. W istocie, we wskazanym kierunku migało coś wyraźnie. W tej odległości wyglądało to na sygnalizowanie. Mógł to być jakiś rozbitek, światło bokiem błyskało tuż nad wodą. Mógł to być jednak i nieprzyjacielski okręt podwodny, który biorąc nas za swoich, próbował z nami nawiązać łączność. Utrzymując dziób w kierunku światła, podeszliśmy bliżej, wprost na nie. Okazało się, że był to ognik fosforowy. Taki, jaki dają bojki ratunkowe, lub jakie zwykle „pykają" na powierzchni morza po większych wybuchach. To zwłaszcza przypuszczenie wydawało nam się tym bardziej prawdopodobne, że równocześnie poszuliśmy w powietrzu zapach spalenizny. Popatrzyliśmy na naszą mapę: w miejscu, nad którym przechodziliśmy właśnie, czernił się mały krzyżyk. Obok niego widniał napis: — „Narvik", godz. 0117". To wyjaśniło wszystko. Tak bowiem w naszej kabinie nawigacyjnej zaznaczono pozycję, w której zginął pierwszy nieprzyjacielski okręt tej nocy.

Wkrótce po wyjściu z pola ropy zaskoczył nas meldunek, że radar na „Błyskawicy" uległ uszkodzeniu i że jego reperacja potrwa dłuższą chwilę. Była to niemiła wiadomość. Defekt radaru zdawał nas całkowicie na własne oczy i słuch.

Dochodziła już trzecia nad ranem, kiedy telefon działa Nr 2 zameldował, że obsługa na dole widzi daleki cień: — „na prawo 15", pod jaśniejszą plamą na niebie. Wkrótce i na pomoście można go było dostrzec. Szedł — nie sam. To szły raczej dwie, blisko do siebie przytulone sylwetki okrętów. W oka mgnieniu, wszystkie lufy pobiegły w ich stronę. Odległość do nich wynosiła, sądząc „na oko", około osiem tysięcy. Żadna wskazówka nie mogła nam wyjaśnić na kogo się znów nadziewamy. Sądząc z mapy, kurs sylwetek obu okrętów prowadził do Saint Brieux, małego rybackiego portu na wybrzeżu bretońskim. Tam mógł zdążać tylko nieprzyjaciel. Zwłaszcza, że cienie posuwały się z dużą szybkością.

W tym momencie, milcząca do tej pory, jak zaklęta, przyszła nam z pomocą własna radiostacja: — odebrała sygnał „Haidy", jednego z kanadyjskich kontrtorpedowców naszej flotylli. Sygnał mówił, że okręt ten jest ponownie w kontakcie z nieprzyjacielem, przedzierającym się z dużą szybkością w kierunku północno - zachodnim. Natychmiast nanieśliśmy na mapę podaną pozycję. Wypadła bardzo blisko nas. Kurs meldunku był jednak inny, niż obserwowanych przez nas sylwetek — bardziej zbliżony do naszego własnego. Może jednak koder się pomylił? W każdym razie, rzecz najważniejsza — mieliśmy przed sobą nieprzyjaciela.

Postanowiliśmy go zaatakować. Zwiększono obroty, do artylerii poszła komenda: — „Uwaga!" Zanim jednak zdołaliśmy wykręcić na kurs, doszedł nas głuchy łoskot strzału. W sekundę potem zrobiło się jasno, jak w dzień. Wysoko, w górze, tuż nad naszymi głowami, wyrósł pocisk oświetlający. Drżał różowym, nierównym światłem, oślepiając pomost, obserwatorów, celowniczych. Prawie jednocześnie, nie czekając na rozkaz, nasze własne działo Nr. 2 odpaliło swój pocisk świecący.

Tak więc nareszcie mieliśmy przed sobą własnego, „prywatnego" przeciwnika. Nawet dwóch na raz! I to — „Narviki"! Całe szczęście, że zanim nasz własny pocisk oświetlający doleciał na miejsce, w górze, nad zaciemnionymi sylwetkami okrętów rozjarzyły się czerwono - zielone światełka. Niemalże w ostatniej sekundzie nasz artylerzysta zdążył ryknąć w mikrofon: — „Stój, nie strzelać"! Na dole, działa drgnęły, ich lufy ruszyły z miejsca, wracając na swoje pozycje wachtowe. Przed dziobem błyskał ku nam — reflektor „Haidy". Obok niej, szedł jej pobratymiec kanadyjski, „Huron". Nasza radiostacja znów przejęła sygnał. Jak się okazało, pochodził on ponownie od „Haidy". Krótka jego treść przyniosła wyjaśnienie: — „W moim poprzednim sygnale, zamiast „nieprzyjaciel", czytaj: „Błyskawica".

Reflektor sygnałowy „Haidy" mrugał nadal dyskretnie, przepraszając nas za omyłkę i tłumacząc, że właściwy przeciwnik znajduje się po drugiej stronie. Był nim oto pojedyńczy „Narvik", który wyrwawszy się z pola walki, uchodził teraz w kierunku Quessant. Właśnie pogoń za nim zapędziła „Haidę" w naszą stronę. W obecnej chwili odległość do „Narvika" była zbyt duża, by otworzyć do niego ogień.

Nie mając przed sobą innego celu, zaproponowaliśmy naszą pomoc w pościgu. „Haida" chętnie zgodziła się na to. Zająwszy więc pozycję za jej rufą, stopniowo zbliżyliśmy się do niej. Na razie odległość do nieprzyjaciela wynosiła około cztery tysiące. Pościg za nim zajął nam dobrą godzinę, zanim wreszcie „Haida" i „Huron" mogły rozpoczął strzelanie Dla nas, niestety, Niemiec pozostawał jeszcze poza zasięgiem. Jedynie w świetle pocisków „Haidy" błyszczał przed nami wyraźnie jego kontur na tle ciemnej wstęgi lądu. Wprawdzie odpowiadał huraganowym ogniem, lecz salwy nie były celne: padały o kilka tysięcy metrów za daleko. Wywnioskowaliśmy stąd, że zapewne już we wcześniejszej fazie walki ktoś mu uszkodził radary.

Tymczasem „Haida" i „Huron" prowadziły strzelanie zespołowe, jak na ćwiczeniach. Równo, co trzy sekundy, odpalały kolejno, aby w ten sposób łatwiej odróżnić swe salwy. W dodatku, strzelały pociskami smugowymi. Odrywały się one od luf jak świetlne punkciki, biegły w przestrzeń zwartą gromadką, po czym łagodnym łukiem schodziły w dół, wprost na cel. Od nas, wyglądało to, jakby ktoś raz za razem rzucał garść kamieni w kierunku Niemca.

(Dokończenie na str. 8)

DZIEŃ SPÓŁDZIELCZOŚCI

(Dokończenie ze str. 4)

Po całej Polsce, po wszystkich uspołecznionych zakładach pracy idzie wołanie: pracujemy u siebie i dla siebie! Jesteśmy współgospodarzami kraju. My pracownicy spółdzielczy razem z chłopami na wsi i robotnikami z fabryki, bierzemy najbardziej czynny udział w wykonaniu planów produkcyjnych, we wzroście wydajności pracy, potanieniu kosztów produkcji, ulepszaniu metod i organizacji pracy.

Nowa Polska — to coraz wspanialszy rozwój spółdzielczości. Pracownicy spółdzielczy uważają się za współtwórców swoich warsztatów pracy, czują się współtwórcami ruchu spółdzielczego.

POMOC PAŃSTWA LUDOWEGO

Prezes banku Gosp. Spółdzielczego — Kuszewski, mówił o pomocy jaką okazało państwo ludowe spółdzielczości. Zniszczenia wojenne doprowadziły do takiego stanu, że nie byliśmy w możności uruchomić własnymi siłami naszych sklepów, fabryk i hurtowni, musieliśmy korzystać z pomocy przyjaznego nam państwa ludowego. Ta pomoc jest wielka. Spółdzielczość polska w tej chwili dysponuje ponad 30 miliardami złotych. Zaledwie 10 proc. tej sumy stanowią środki pieniężne, będące własnością naszej spółdzielczości. Reszta, to pomoc otrzymana w postaci towarowej, bądź pieniężnej od państwa.

Wszyscy spółdzielcy czynią sobie mocne postanowienia, ażeby zrobić wszystkie wysiłki, by, mimo naszego zubożenia zdolność materialna ruchu spółdzielczego stała się większa, w ten bowiem sposób damy dowód, że jesteśmy dobrymi spółdzielcami i dobrymi obywatelami państwa ludowego.

JEDNOCZESNE ROZWINIĘCIE SZTANDARÓW: SPÓŁDZIELCZEGO PPS I PPR

Doniosłym momentem uroczystości było jednoczesne rozwinięcie sztandarów: spółdzielczego, PPS i PPR, spółdzielni Warszawa — Śródmieście. Sztandar PPS rozwinął i wręczył chorążemu Prezes Żerkowski, sztandar spółdzielczy — Prezes Zw. Rewizyjnego — Pszczółkowski. Sztandar PPR — ob. Woynowski. Orkiestra odegrała „Czerwony Sztandar", „Międzynarodówkę", „Oto dziś dzień krwi i chwały" oraz hymn spółdzielców, po czym nastąpiło wbijanie gwoździ w drzewce sztandarów. Pierwszy gwóźdź wbił Premier Cyrankiewicz. Następny w imieniu wicepremiera Gomułki, prof. Łęczycki i w imieniu wicemarszałka Szwalbego — Dyr. Rozwadowski.

Poza tym w całej stolicy odbyły się uroczystości dzielnicowe, zabawy ludowe, zawody sportowe oraz wielka akademia młodzieżowa.

UROCZYSTOŚCI W CAŁYM KRAJU 40-LECIE SPÓŁDZIELNI

Na czoło uroczystości, jakie odbywały się w całym kraju, wybija się obchód w Sandomierzu, połączony z jubileuszem 40-lecia istnienia tamtejszej spółdzielni „Pomoc Bratnia" oraz otwarciem Państwowego Liceum Spółdzielczego Przetwórstwa Ogrodniczego w Sandomierzu — pierwszej tego rodzaju szkoły w Polsce.

Na uroczystości tej przemawiał wicemarszałek Sejmu, Stanisław Szwalbe, obecni byli wiceminister Oświaty — Jabłoński i prezes Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P. — Pszczółkowski.

100-TYSIĘCZNA LEGITYMACJA SPÓŁDZIELCZA W ŁODZI

W czasie uroczystej akademii w Łodzi, została wręczona 100-tys. legitymacja spółdzielcza — robotnikowi łódzkiemu — ob. Janowi Ignaczakowi, który otrzymał cenne dary żywnościowe i kupon wełniany. Otrzymali również nagrody najlepsi pracownicy spółdzielczych zespołów szkolnych i ich opiekunowie w postaci biblioteczek spółdzielczych.

W Poznaniu z okazji Dnia Spółdzielczości odbyła się akademia na Pl. Wolności, w obecności 12-tysięcznego tłumu. Odbył się również cały szereg imprez sportowych. Wręczenia nagród dokonał przedstawiciel Delegatury Zarządu „Społem", mgr. Kaczorowski.

Na Wybrzeżu Dzień Spółdzielczości stał się manifestem osiągnięć w dziedzinie spółdzielczości i wzmocnieniem wiary w pomyślny jej rozwój. **W Sopocie** nastąpiło otwarcie pierwszego sklepu szwedzkiego, który został zaopatrzony w artykuły spożywcze, słodycze, papierosy i napoje. Sklep ten będzie sprawdzianem uczciwości i wyrobienia obywatelskiego mieszkańców Wybrzeża. **W Gdyni** urządzony został konkurs na najlepiej udekorowany samochód. Oceny dokonała specjalna komisja konkursowa. Pierwszą nagrodę otrzymał samochód „Społem", udekorowany w formie kuli ziemskiej, opasanej wstęgą. Oprócz tego we wszystkich miastach Wybrzeża odbyły się zabawy taneczne dla pracowników spółdzielczych i szerokich mas społeczeństwa.

Bydgoszcz uczciła Dzień Spółdzielczości Mszą św., wielkim pochodem, zakończonym defiladą na pl. Wolności, przyjętą przez przedstawicieli Rządu, władz miejskich partyjnych i spółdzielczych oraz akademią okolicznościową w Teatrze Miejskim.

W okręgu białostockim, w dniach poprzedzających uroczystości spółdzielcze, w radio były wygłoszone pogadanki na tematy spółdzielczości. W niedzielę, po Mszy św. ulicami miasta przeszedł pochód pieszy z udziałem pracowników spółdz., Związku Rewizyjnego, i przedstawicielami Zw. Zawodowych, świata pracy i pocztów sztandarowych oraz udekorowanej kolumny samochodowej. Po uroczystej akademii, na stadionie sportowym, odbyły się zawody lekkoatletyczne. W godzinach wieczornych Spółdzielnia Spożywców w Białymstoku, urządziła w swoim lokalu symboliczną herbatkę dla aktywu spółdzielczego.

W Lublinie, w czasie uroczystej akademii w Teatrze Domu Żołnierza udekorowani zostali jubilaci-spółdzielcy przez przewodniczącego Rady Wojewódzkiej.

W dniu Święta Spółdzielczości w Krakowie, odbyła się uroczystość otwarcia linii wysokiego napięcia, wykonanej przez SPB w Tyńcu, w obecności wicemarszałka Sejmu ob. St. Szwalbego.

SPÓŁDZIECY WSZYTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ W IMIĘ POKOJU I POSTĘPU LUDZKOŚCI

Wicemarszałek Sejmu z okazji otwarcia linii wysokiego napięcia w Tyńcu powiedział między innymi:

— W ramach Państwa Ludowego mamy nieograniczone możliwości. Praktycznie, jak każdy ruch masowy, musimy i możemy wykorzystać te możliwości nasze swoim własnym wysiłkiem. Wysiłkiem pracy nad rozwojem poszczególnych placówek spółdzielczych oraz aktywnym, osobistym i materialnym — gospodarczym udziałem każdego przekonanego spółdzielcy w jego „macierzystej" spółdzielni.

Każdy człowiek pracy w spółdzielni, każda spółdzielnia w swych centralach. każda centrala na właściwym miejscu w gospodarce państwowej i we właściwym stosunku do międzynarodowej organizacji spółdzielczej — oto hasła na rok 1947.

Rok 1947 jest swego rodzaju spółdzielczym, jubileuszowym. Obchodzi bowiem ruch spółdzielczy poraz 25 Międzynarodowy Dzień Spółdzielczości...

A dalej ...**Z okazji 25-go Międzynarodowego Dnia Spółdzielczości, Międzynarodowy Związek Spółdzielczy wzywa wszystkie zrzeszone organizacje z 28 krajów, które posiadają łącznie 93,5 miliona członków indywidualnych, do zamanifestowania wobec całego świata solidarności oraz siły potencjonalnej ruchu spółdzielczego dla realizowania celów Organizacji Narodów Zjednoczonych. W celach tych widzi bowiem ludzkość skuteczne narzędzie budowy nowego politycznego i gospodarczego ustroju, opartego na międzynarodowym porozumieniu i współpracy.**

Przemówienie swoje zakończył marszałek Sejmu słowami:

Spółdzielcy wszystkich krajów łączcie się w imię pokoju i postępu ludzkości.

We wszystkich innych miastach i miasteczkach całej Rzeczypospolitej, odbyły się w Dniu Spółdzielczości uroczyste akademie, pochody, defilady oraz imprezy sportowe i zabawy ludowe.

W DNIU SPÓŁDZIELCZOŚCI „SPOŁEM"

W dniu 28 września br., odbyła się w „Społem" dekoracja złotą odznaką 65 jubilatów spółdzielczych. Jubilatami są:

1) Bałaban Tadeusz, 2) Bank St., 3) Bigajówna Z., 4) Bankowski E., 5) Cerlowiczowa J., 6) Ciekota Sz., 7) Dąbrowski S., 8) Dębowski E., 9) Dobraczyński W., 10) Dowrzyk J., 11) Dzieniszewski A., 12) Dziurman P., 13) Dubalski W., 14) Gorządzko T., 15) Heller J., 16) Jakucewicz M., 17) Jakubowski M., 18) Kalusińcki F., 19) Kamiński S., 20) Kamia M., 21) Kapuściński J., 22) Kawecka J., 23) Kołodziejczak A., 24) Konarzewski D., 25) Koperwas D., 26) Kowalik W., 27) Krajewski F., 28) Krzywicki F., 29) Kudelanka J., 30) Kuczyński P., 31) Kucharska H., 32) Koza J., 33) Lekston P., 34) Maksymiuk K., 35) Markowski A., 36) Mioduszewski A., 37) Nowak B., 38) Olewiński P., 39) Pilewicz J., 40) Pietrzak P., 41) Dogroszewski W., 42) Poprawski J., 43) Prażmowski H., 44) Rausz T., 45) Rogulski P., 46) Ruciński E., 47) Sendor J., 48) Sędziwy M., 49) Słomiński W., 50) Smiglak M., 51) Staniewski A., 52) Stankiewicz S., 53) Stepszo M., 54) Stępień B., 55) Szczepański S., 56) Sztachelski S., 57) Szydłowski W., 58) Szymczak L., 59) Szyszło D., 60) Sykutera J., 61) Tomczak-Tomaszewski F., 62) Gładziński Z., 63) Zarębski J., 64) Żelazowski W., 65) Zetelman A.

KRONIKA KULTURALNA

GDY PRZED DWOMA miesiącami ogłosiliśmy w „Tygodniu" (№ 22/46) felieton pt. „Bierzcie i pożywajcie" o nowym wydaniu „Chleba i wina" Ignazia Silone, powiedzieliśmy, że tytuł książki jest ewangeliczny, a treść jej — prawdziwie chrześcijańska. Powiedzieliśmy tak, rzecz jasna, nie powodowani żadną „polityką" wyznaniową czy religijną, lecz po prostu jako tzw. dobrzy chrześcijanie. Okazuje się jednak, że chrześcijaństwo jest pojęciem nie tylko względnym, ale mieści w sobie niezwykłe krańcowości. Oto w „Tygodniku Warszawskim" (№ 38) w recenzji z „Chleba i wina" p. Halina Kamieniecka zupełnie tak samo jak my ocenia wartość moralną książki Silone: „jest ona czysta — powiada — chrześcijańska z ducha, humanistyczna do głębi". Natomiast w „Dziś i Jutro" (№ 38/95) w notatce pt. „Mała przesada" czytamy o Silone te słowa: „Silone zawsze starał się wykazać zgodność pomiędzy katolicyzmem a marksizmem, czego dowodem ostatnio na nowo wydana jego bluźniercza powieść „Krew i wino". — Przypuśćmy, że w tytule powieści zaszedł błąd drukarski nie „krew", lecz „Chleb i wino" (po włosku „Pane e vino"). Ale — bluźniercza? Ho, ho, ho. I takich epitetów używa „Dziś i Jutro"?

ST. ŁATKA

W OBRONIE PLAŻY

(Dokończenie ze str. 7)

Ogień musiał być dokładny, bo niebawem „Narvik" zaczął stawiać zasłonę dymną. Gdy sięgnęła już dostatecznej długości, zawrócił i schował się za nią. „Haida" nie przerwała ognia. Strzelała teraz w dalszym ciągu „na ślepo" — przy pomocy swoich radarów. Nareszcie i my weszliśmy w zasięg naszych dział. — Z trzeciego kierunku posypały się obecnie ku Niemcowi nowe grupki punkcików. Minuty jego życia były policzone.

Kurs całej walczącej grupy prowadził ostro na ląd. W pewnej chwili radar „Haidy" zameldował, że nieprzyjaciel — stanął. Popatrzyliśmy na mapę: — jego pozycja wypadała dokładnie na północnej krawędzi wyspy Isle de Batz. Widocznie Niemiec, trafiony i przyciśnięty do brzegu, wolał wyrzucić się na plażę. Zresztą liczył pewnie i na odsiecz własnych, nadbrzeżnych baterii: I słusznie. Tonący jego wrak obudził wreszcie nadbrzeżnych kanonierów, którzy do tej pory milczeli, chociaż ich radary oddawna musiały prowadzić nas na swych ekranach.

Ogień baterii z brzegu był bardzo celny. Strzelały one do nas z kilku na raz kierunków. Nasz dłuższy pobyt pod ich obstrzałem stał się niebezpieczny. Nie chcąc więc niepotrzebnie ryzykować, zawróciliśmy, i wyciągnięci w długi szyk, odeszliśmy na północ. Byliśmy jeszcze na zwrocie, gdy po przeciwnej stronie przestrzeń nieba oblała nagle purpurowa łuna. Na dole, w samym jej środku, zabłysnął na horyzoncie jasny kłąb ognia. Jeszcze chwila i ogień wraz z łuną zgasły równie szybko, jak się pojawiły. Z tyłu, za rufą, pozostał płonący „Narvik", co raz mniejszy w oddali. W końcu i strzały baterii umilkły — zrobiło się cicho i zimno. Po raz pierwszy dało nam się wtedy we znaki zmęczenie.

Po wschodniej stronie nieba zaczynało szarzeć.

Było już całkiem jasno, kiedy z „Tartara" otrzymaliśmy sygnał radiowy, nakazujący dokoła niego koncentrację flotylli. Kilkanaście minut potem byliśmy już wszyscy na wyznaczonej pozycji. Po kolei policzyliśmy sylwetki: nie brakowało nikogo! Każdy teraz z kontrtorpedowców podawał sygnałem statystykę minionej nocy. Wynikało z niej przede wszystkim jedno: nieprzyjaciel przestał istnieć. Nasze zadanie zostało wykonane.

Formowaliśmy właśnie szyk przeciwlotniczy, gdy spoza niskich chmur wyskoczył na nas pojedyńczy „Junkers". Od razu przywitaliśmy go wszyscy huraganowym ogniem. Niemiec cofnął się przed zaporą i znurkował nad horyzontem. Potem, lecąc nisko nad wodą, okrążył zdaleka flotyllę, policzył nas i — poszedł sobie. przez kilka następnych godzin czekaliśmy przy działach na rewanż „Luftwaffe". Daremnie. Wreszcie koło południa mgła nad Anglią rozeszła się, a nad nami pojawiły się własne myśliwce.

Walka była skończona.

Około godziny czwartej po południu na horyzoncie ukazały się zarysy portu Plymouth. Człapiący do tei pory na końcu szyku „Tartar", wysunął się teraz na czoło, nakazując jednocześnie podniesienie bojowej gali. W miarę, jak przechodziliśmy przez wejście do portu, fort salutował po kolei siedem wielkich bander. podniesionych na niecodziennym miejscu — na szczycie masztu. Jeden z tych salutów oddawał białoczerwonej banderze.

Gdy przycumowaliśmy do ropowca, na pokładzie pojawili się dygnitarze, przedstawiciele prasy, i co najważniejsze — specjalna partia ludzi do ładowania amunicji. Zdarzyło się nam to po raz pierwszy. Za pomoc tę czuliśmy prawdziwą wdzięczność, największym bowiem naszym pragnieniem był w tej chwili sen. Kładąc się do koi, słyszeliśmy jeszcze dziennik radiowy, który podawał relację: — „Lądowanie w Normandii przebiega spokojnie według planu".

Potem zasnęliśmy.

JÓZEF BARTOSIK
Kpt. Mar. Woj.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

PODZIEMNA POCZTA POLSKA

Podziemna poczta polska uruchomiona została 15 maja 1942 r. Fakt ten jest jeszcze jednym dokumentem tężyzny narodu polskiego i jego woli walki i zwycięstwa oraz niezbitym dowodem zdolności organizacyjnych Polaków; żaden bowiem naród nie zdobył się na stworzenie własnej poczty narodowej pod wrogą okupacją niemiecką.

Podziemna poczta polska podejmowała się dostawy listów pomiędzy większymi ośrodkami dawnej „Generalnej Gubernii" oraz niektórych okręgów wschodnich i zachodnich dzielnic Polski.

Istniały następujące urzędy pocztowe: Warszawa 1, Warszawa 2 (Praga). Sochaczew, Błonie, Łowicz, Skierniewice, Lublin, Lubartów, Hrubieszów, Chełm Lub., Sandomierz, Częstochowa, Piotrków, Kraków, Radom, Kielce, Tarnów, Siedlce, Mińsk Mazowiecki i Sokołów Podlaski.

Listy zarówno do obrotu wewnętrznego w Warszawie jak i na prowincję z ewentualnym zwrotnym poświadczeniem odbioru przyjmowane były przez specjalnie na ten cel stworzone komórki oraz przez łączników organizacyjnych.

Prócz doniosłego znaczenia, jakie miało dla nas w kraju uruchomienie „Podziemnej Poczty Polskiej" był i drugi aspekt, znany wszystkim filatelistom, a mianowicie, ten, że każdy znaczek pocztowy musiał się znaleźć w światowym katalogu filatelistycznym. Już w końcu 1942 r. cztery komplety znaczków „Polskiej Poczty Podziemnej" znalazły się na wystawie w Chicago, a reprodukcje ich zamieściło wiele pism amerykańskich i angielskich. Seria pierwsza składała się z ośmiu znaczków (po 20.000 nakładu każdy), wykonanych przez ob. J. D. w firmie „Blaszanka" przy ul. Przemysłowej, w Warszawie i wykonana była technicznie ściśle według wzorów znaczków jubileuszowych.

1) Znaczek 25-groszowy koloru czarnego z napisem „Polska Prasa Podziemna", przedstawiający kilka tajnych wydawnictw,

2) znaczek 30-groszowy koloru szarego z napisem „Prasa Podziemna przy pracy", przedstawiający drukarza przy maszynie drukarskiej,

3) znaczek 50-groszowy koloru niebieskiego z napisem: „Polska Marynarka Wojenna w W. Brytanii", przedstawiający łódź podwodną „Orzeł",

4) znaczek 55-groszowy koloru czerwonego z napisem: „Plac Zamkowy, Warszawa — wrzesień 1939 r.", przedstawiający skutki działań wojennych,

5) znaczek 75-groszowy koloru ciemno-zielonego z napisem: „Wojsko Polskie w W. Brytanii", przedstawiający karabin maszynowy w akcji,

6) znaczek 80-groszowy koloru jasno-zielonego z napisem: „Polska Broń Pancerna w W. Brytanii", przedstawiający ciężki czołg polski,

7) Znaczek 1-złotowy koloru buraczkowego z napisem: „Lotnictwo Polskie w W. Brytanii", przedstawiający startujące samoloty polskie,

8) znaczek 2-złotowy koloru jasnoceglastego, przedstawiający Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego.





Siedem ostatnich znaczków reprodukujemy powyżej, z tych pięć stanowiło reprodukcję polskich znaczków, wydanych w Wielkiej Brytanii (ze zmianą jedynie kolorów, napisów dolnych i w jednym wypadku wartości znaczka). Zamiast znaczków, przedstawiających „Zburzenie Pomnika Mickiewicza, Kraków 1940", „Ministerstwo Skarbu, Warszawa, wrzesień 1939" i „Ambasada St. Zj. Ameryki, Warszawa, Wrzesień 1939", które ukazały się w Wielkiej Brytanii — w kraju wydano znaczki z gen. Sikorskim, z „Polską Prasą Podziemną" i z „Prasą Podziemną przy pracy".

Znaczki były gumowane, lecz nie perferowane. Dopiero druga seria znaczków wydanych w 1943 r. (o której poinformujemy wkrótce naszych czytelników) była perferowana. Znaczki użyte do ofrankowania listów były stemplowane przez „Urzędy Pocztowe" poczty podziemnej. Pierwszy urząd pocztowy w Warszawie, mieścił się przy ul. Brackiej 6.

W drugiej serii znaczek 2-złotowy, przedstawiający Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego, wydany został w kolorze czarnym (na znak żałoby po śmierci generała).

Niewątpliwie nie wiele osób przechowało znaczki „Podziemnej Poczty Polskiej", które w większości rozeszły się w Warszawie i tu spłonęły podczas powstania warszawskiego. Dwa komplety przekazane zostały do Muzeum Wojska i Muzeum Poczt i Telegrafów w Warszawie, a kilkanaście jest w sprzedaży. Uzyskany dochód (w drodze licytacji) przeznaczony zostanie na odbudowę Warszawy.

M. B.

HOMO SUM

W kawiarni podsłuchałem rozmowę, jaką wiodło o teatrze dwóch inteligentnych na oko panów — a może byli to nawet recenzenci teatralni jakichś pism stołecznych? Mówili o Szekspirze i o „Hamlecie" w Teatrze Polskim.

— Co oni z tego zrobili? — zawołał jeden: — tyle momentów niewyzyskanych!

— Rzeczywiście — przytaknął drugi, jakby się bojąc mieć własne zdanie: — reżyseria nie była na poziomie.

Zadumałem się nad tymi opiniami. Co to może znaczyć: „tyle momentów niewyzyskanych"? Co rozmówca miał na myśli? Jaki sens chciał włożyć w zdanie, które absolutnie nic nie wyraża, jest pustobrzmiącym, zupełnie bez treści, frazesem? A czego można się doszukać w drugim sądzie: „reżyseria nie była na poziomie"? I on nic nie orzeka. Szekspir, słysząc taką rozmowę, powiedziałby: to tylko słowa, słowa, słowa... Wyspiański ująłby to w sposób dosadniej sarmacki: a pan jeden z drugim gada, gada, gada... Gada, co ślina na język przyniesie — nie myśląc wcale. Myśl i język u takiego rozmówcy — to dwie różne czynności (a raczej myśl jest bezczynna), zupełnie nie sprzęgnięte, nie uzgodnione ze sobą — wówczas gdy język powinien być funkcją i wyrazem myśli.

Przysłuchajmy się rozmowom naszego inteligenta — po kawiarniach, na ulicy, w pociągu. Usłyszymy co krok tego rodzaju zwroty: czy mogę „skorzystać" z telefonu? czy pan „posiada" już bilet? wefte i wefte... kanciarz pierwszorzędny... stuprocentowa facetka... forsa... fajnie... pod gazem na sto dwa... Symptomatyczne w takich rozmówkach jest również słówko „lipa", nazbyt często powtarzane. Jeśli zapytamy jakąś — przypuśćmy — studentkę, czy się jej podobała ostatnio przeczytana książka, odpowie: „szalenie", albo: „e, bujda". Myślę, że gdyby jakiś solidny, przywykły do rzeczowości, cudzoziemiec, mający dobrą znajomość języka polskiego, przysłuchał się w czapce - niewidce naszym potocznym rozmowom, pokiwałby głową i rzekł: dziwny naród, bardzo dziwny... Albowiem język jest wykładnikiem uczuć i myśli narodowej, jest słyszalnym kształtem tych procesów, jakie się odbywają w naszych duszach: w języku, w mowie ojczystej — jakby powiedział poeta — lud składa broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty. Nasz język tj. język przeciętnego inteligenta, jest zadziwiająco ubogi w słownictwo, daleki od ścisłości i precyzji, mało indywidualny, gadatliwy a niewyrazisty, i przykro niechlujny. W tych niedostatkach języka odzwierciedla się nasza osobowość narodowa: jaki człowiek, taki język.

Gdy czytamy prace wielkich naszych pisarzów i stylistów, obserwujemy dziwaczne zjawisko rozbieżności i odmienności, jakie zachodzą pomiędzy literacką mową polską a zwykłym językiem przeciętnego inteligenta. Język Mickiewiczów, Słowackich, Prusów, Żeromskich, Świętochowskich, Strugów — jest klasycznie doskonały, czysty, piękny i niemal wyniosły, jakby arystokratyczny, jakby dla wybrańców — a tymczasem język powinien być demokratyczny, w tym jednak sensie, że w dobrej demokracji wszystko powinno przerastać zwyczajną, przyziemną miarę. Jeśli ktoś w życiu powszednim zaczyna mówić tak poprawnie i sprawnie, jak pisali owi wielcy władcy języka, wywiera to na słuchaczach wrażenie „sztuczności" i „książkowości". Tak być nie powinno. Język codzienny — dajmy na to inteligenta francuskiego, niczym się doprawdy nie różni od języka Frauberta czy Anatola France'a: odznacza się tym samym bogactwem i rozmaitością, tą samą ścisłością, tchnie tym samym duchem gallijskim czyli rdzennie francuskim. Powieści Dickensa pisane są w języku ulicy i niższych społecznych Anglii, a przecie jak barwnie i zasobnie wystawia się choćby Sam Weller, sługa pana Pickwicka. Czytajmy po rosyjsku nowele Czechowa; postaci, występujące w nich — to szara masa, tłum, przeciętność ludzka, niekiedy nawet motłoch. Lecz jakaż jest ich mowa? Jakże dostatnia, żyzna i urodziwa. I nie jest ona taka dlatego, że Czechow każe swym bohaterom mówić swoim literackim, wymyślnym językiem: przeciwnie — tomy notatników Czechowa świadczą o tym, że przysłuchiwał on się prostej, bieżącej mowie rosyjskiej gdzie mógł — właśnie na ulicy, w sklepiku i w pociągu — i zapisane zwroty wkładał potem żywcem w usta swych bohaterów.

Kiedyś przed wojną, Leon Chwistek w rozważaniach o kulturze polskiej zastanawiał się nad płytkością i ubóstwem języka inteligencji polskiej, ten język bowiem stanowi miarę kultury narodowej, nie zaś język, którym się posługuje odgórne dziesięć tysięcy literatów, uczonych i intelektualistów. I dochodził do wniosku, że nie jesteśmy narodem czy społeczeństwem w całym znaczeniu słowa kulturalnym. Nasza tzw. cywilizacja łacińska nie jest głęboka ani szeroka; wąskie i płytkie jest koryto którym płynie, i nie odchodzą z niego niezliczone odnogi, zraszające całą powierzchnię kraju. Kulturę naszą znamionuje raczej naśladownictwo i wtórność, niźli oryginalność; nie zbogaciliśmy kultury europejskiej żadnym wiekopomnym wkładem, tylko przyswajaliśmy ją sobie, lecz i przyswajając, nie przetrawiliśmy jej dotychczas, nawet nie przeżuliśmy jeszcze — oczywista, w masie narodowej, nie w jednostkach czy niektórych środowiskach. A wobec tego, że człowiek jest wytworem kultury — „człowiek w Polsce", jak mówił Norwid, nie jest jeszcze pełnią człowieka, jeno „karykaturą" jego. „Polak się nie rozumie" — dodałby do tego Słowacki — „choć żyje od wieka, bo musi wpierw wychować w sobie kształt człowieka".

Wychować! Oto słowo. Wychować nie jest łatwo. Wychowanie — to proces długi, cierpliwy, starany i konsekwentny. Wychować trzeba nie tylko państwowo i narodowo — w tym zakresie robiliśmy i robimy, jak się zdaje, bardzo dużo; wychować człowieka trzeba — wedle słów Norwida — „we wszystkich człowieka obowiązkach", aby nie był karłem duchowym i moralnym. Wychowanie „człowieka w Polaku" powinno się stać najważniejszym dla nas zagadnieniem, i to do niego dałoby się całkowicie niemal sprowadzić ten legion pytań, zadań i problematów, jakie niepokoją nasz naród i „brzęczą nad nami niby zagmatwany rój" — jakby się wyraził Krasicki. A jakież są najistotniejsze przymioty prawdziwego człowieka? Cztery są: poczucie godności osobistej, szacunek dla godności ludzkiej w bliźnim, poczucie odpowiedzialności i odwaga cywilna. Wychowawszy je w sobie, człowiek może powiedzieć z dumą: homo sum. Ale niełatwo ten stan osiągnąć.

Jerzy Wyszomirski

DWA LATA SPÓŁDZIELCZOŚCI SZCZECIŃSKIEJ

Kiedy w czerwcu 1945 r. grupka działaczy spółdzielczych zjawiła się na terenie województwa szczecińskiego, życie tutejsze przedstawiało jeden wielki obraz zniszczenia i dezorganizacji. Przechodząca tędy zawierucha wojenna nie szczędziła ani budynków, ani dróg, ani linii kolejowych.

Nie trzeba więc specjalnie uzasadniać, że przychodząca tutaj ludność polska musiała życie organizować od podstaw. A przyznać trzeba, że życie to nie było łatwe. Nic też dziwnego, że w tych warunkach tylko śmielsi i uznający potrzebę szybkiego zagospodarowania ziem odzyskanych zostawali na posterunku i życie to budowali. Pracę zaczynali od podstaw i bez pomocy, bo trudno mówić o pomocy państwowej czy innej wówczas, kiedy jednocześnie aparat ten trzeba tworzyć. A tworzył ten aparat nie kto inny jak ta sama ludność polska, która przybywała tutaj organizować jednocześnie swoje własne życie.

Forma spółdzielcza zjawiła się wszędzie tam, gdzie znajdowało się przynajmniej małe grono ludzi, chcących swoje życie lepiej zorganizować i pragnących z pomocą tą przyjść także innym. Organizacja całego aparatu spółdzielczego miała charakter nieco odgórny, ale innego wyboru nie było.

Powstawały więc kolejno Oddziały „Społem" w Szczecinku, Koszalinie, Wałczu, Drawsku, Białogardzie, a także i w Szczecinie. Już w ciągu trzech miesięcy zorganizowanych zostało na Pomorzu Szczecińskim 9 placówek powiatowych „Społem". A trudności przy organizacji były znaczne. Brak środków obrotowych, wielkie trudności transportowe, magazynowe, następnie powszechny brak wykwalifikowanych sił pracowniczych, poważnie hamowały pracę i wiele trzeba było włożyć wysiłku i hartu, aby te początkowe trudności zwalczyć. Wysiłek ten i praca nie poszły jednak na marne, gdyż placówki „Społem" w szybkim tempie stały się poważną siłą gospodarczą w odbudowie i zagospodarowaniu Pomorza Szczecińskiego.

Wraz z rozwojem Oddziałów „Społem" powstawała sieć detalicznych placówek spółdzielczych. Pierwsze spółdzielnie powstają w większych skupiskach ludzkich, przeważnie w miastach. Już w dniu 5 czerwca 1945 r. powstaje pierwsza spółdzielnia spożywców „Robotnik" w Szczecinku, następnie sp. sp. „Pionier" w Koszalinie itd.

Dziś warto także wspomnieć, że oprócz trudności organizacyjnych spółdzielczość nie zawsze mogła liczyć na życzliwy stosunek lokalnych władz administracyjnych. Były wypadki, że szereg początkowych wykonawców aparatu państwowego nie rozumiało, czy też nie chciało zrozumieć ogólnych założeń państwa demokratycznego i woleli popierać inicjatywę prywatną, która najczęściej szabrem się kończyła. Trzeba przyznać, że i wielu pracowników spółdzielczych, także nie zdało egzaminu. Wszelką jednak przypadkowość szybko odpadała, zło naprawiono i coraz bardziej jednoczyła się myśl wspólnego wysiłku, prowadzącego do pełnego rozwoju ruchu spółdzielczego.

POSIADAMY JUŻ ZNACZNY DOROBEK

Liczba czynnych detalicznych placówek spółdzielczych sięga już na Pomorzu Szczecińskim cyfry 700. „Społem" posiada 22 placówki powiatowe, 7 placówek okręgowych specjalnych, 6 zakładów wytwórczych i 17 młynów. W roku 1945 obrót placówek „Społem" wynosił zaledwie 74.255 tys. zł osiągając przeciętny obrót ze spółdzielniami 20 proc. Obrót już za r. 1946 wynosi 1.458.598 tys. zł a za I półrocze br. samych tylko placówek powiatowych 1.315.728 tys. zł, przy obrocie ze spółdzielniami ponad 50 proc. Ogółem „Społem" zatrudnia na Pomorzu Szczecińskim ponad 1.300 pracowników.

Najbardziej rozpowszechnione są spółdzielnie spożywców, których jest ogółem 220 i spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej, których czynnych na dzień 30.6. br. było 199 a prowadziły one 299 sklepów. Obserwując obroty w gminnych spółdzielniach, trzeba stwierdzić, że wzrastają one z miesiąca na miesiąc. Kiedy za cały rok 1946 obroty tych spółdzielni wynosiły zaledwie 600 mil. to już za I półrocze br. przekroczyły 1 miliard zł. Wzrosły także fundusze własne jak również i liczba członków.

Ogółem gminne spółdzielnie zrzeszają obecnie ponad 20 tys. członków.

Spółdzielni Rolniczo - Handlowych pracuje obecnie 27, z czego 25 o zakresie powiatowym, a 2 rejonowym. Stan i rozwój tych spółdzielni przedstawia się następująco:

	30.6.46	31.12.46	20.6.47
liczba członków	2.153	3.958	4.801
zatrudnionych pracowników	1.004	1.022	957
fund. własne zł	281.594	456.892	760.101
obroty w mil. zł	121.3	424,9	629

Spółdzielni mleczarskich pracuje na terenie województwa 51, przerabiając w I-szym półroczu br. 6.799 tys. litrów mleka. Znacznym dorobkiem mogą się poszczycić spółdzielnie pracy i różne. Bank Gospodarstwa Spółdzielczego posiada obecnie 9 placówek terenowych.

Ważnym osiągnięciem ruchu spółdzielczego na Pomorzu jest zorganizowanie samorządu spółdzielczego „Społem" powołało ogółem 22 rady oddziałowe. Niezależnie od „Społem" rady oddziałowe powołane zostały także przez Związek Rewizyjny w ogólnej liczbie 9. Oba te samorządy ściśle ze sobą współpracują, szczególnie na odcinku społeczno - wychowawczym.

Ogółem ruch spółdzielczy skupia na Pomorzu Szczecińskim ponad 50 tys. członków i zatrudnia przeszło 4 tysiące pracowników.

O PEŁNE UMASOWIENIE RUCHU

Ruch spółdzielczy na Pomorzu Szczecińskim wyda wówczas należyte plony pracy, gdy zostanie całkowicie umasowiony. Szczególnie dużo do zrobienia ma spółdzielczość na wsi. Z uwagi na rolniczą strukturę województwa największą troską należy otoczyć spółdzielczość rolniczą. W zakresie zrealizowania pełnej sieci gminnych spółdzielni Samopomocy Chłopskiej niewiele będzie trzeba włożyć wysiłku, gdyż tylko jeszcze w 104 gminach nie ma tych spółdzielni. Większy natomiast wysiłek trzeba będzie włożyć w rozbudowę gospodarczą tych spółdzielni. Spółdzielnie te muszą przejąć szereg zakładów przemysłu rolnego. Już dziś wiele spółdzielni, jak: w Baniach, Chociwolu, Myśliborzu itd. prowadzi tartaki, młyny, gorzelnie, betoniarnie itp. Spółdzielnie tego typu muszą być odpowiednio powiązane ze spółdzielniami Rolniczo - Handlowymi i spółdzielczością miejską.

W zakresie sieci spółdzielni spożywców w miastach największy wysiłek kładziony będzie na rozwój detalicznych punktów sprzedaży oraz na organizację sklepów branżowych. Spółdzielnie tego typu działają już we wszystkich miastach województwa szczecińskiego. Znaczną uwagę musza one zwrócić także na organizację własnej drobnej wytwórczości, jak również na jednanie nowych członków.

Na podstawie 2-letniej działalności ruchu spółdzielczego na Pomorzu Szczecińskim można stwierdzić, że jest on żywotnym aparatem społeczno - gospodarczym i wniósł poważny wkład w odbudowę tych ziem.

CZESŁAW SOBCZYK



Szczecińskie Zakłady Mleczarskie.



Ruchomy kiosk cieszy się powodzeniem.



Sklep Spółdzielni Spożywców „Rolnik" w Szczecinie.

ODDZIAŁ POWIATOWY W RADZYMINIE

Ongiś istniała w Radzyminie składnica „Społem", a Oddział powstał dopiero w lipcu 1945 r., ul. Warszawska 24. Zaopatruje on w towary 17 spółdzielni z terenu powiatu radzymińskiego, zatrudniając 22 pracowników.

Poza artykułami kolonialno - spożywczymi Oddział sprzedaje wyroby żelazne, nawozy sztuczne, materiały budowlane, wyroby P. M. S. i P. M. T. Jeszcze w roku bieżącym Oddział wprowadzi sprzedaż materiałów opałowych. Podkreślić należy dodatnie wyniki Oddziału w akcji skupu zboża dla Funduszu Aprowizacyjnego. Z akcji tej Oddział wywiązał się ku zadowoleniu władz.

Na działalności handlowej Oddziału ujemnie odbija się fakt, że Radzymin leży w pobliżu Warszawy, toteż wiele Spółdzielni zaopatruje się w towary w Oddziale stołecznym. Mimo to, obroty Oddziału wzrastają.

70 proc. obrotów — to obroty szlachetne ze spółdzielniami.

Magazyny Oddziału są dostateczne. a biura nieco szczupłe. W marcu br. zakupiono posesję 4 ha. Teren ten należałoby wykorzystać. Można byłoby zaplanować zorganizowanie: tartaku, hodowli drobiu lub jakiejś placówki wytwórczej.

Sieć spółdzielni jest niedostateczna. W roku bieżącym powstanie jeszcze 6 nowych placówek. Spółdzielnie są finansowo słabe, zasługują na wydatniejsze poparcie przez B. G. S. Rada Oddziałowa składa się z 15 osób. Pracuje bardzo wydatnie. Kierownikiem Oddziału jest ob. Mieczysław Just, który za 3 lata święcić będzie srebrne gody swej pracy w spółdzielczości. **(a)**

SPROSTOWANIE

W Nr 39 (63) „Tygodnia" w artykule Józefa Niemca pt. „Ideologia i praktyka spółdzielczości rolniczej" na str. 10-ej w szpalcie 3-ej wkradła się omyłka. Zamiast: „Dotychczasowe Oddziały „Społem" pozostałyby dla wszystkich hurtowni spółdzielczych artykułów spożywczych i przemysłowych, potrzebnych dla gospodarstwa domowego, na wsi i w mieście, tak jak je samo życie usytuowało", powinno być „Dotychczasowe Oddziały „Społem" pozostałyby dla wszystkich spółdzielni hurtownią artykułów spożywczych i przemysłowych potrzebnych dla gospodarstwa domowego na wsi i w mieście, tak jak je samo życie usytuowało".

Również błędnie podano: „Zjednoczenie Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici", a winno być: „Związek Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici".

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadkę dziewiątą, zamieszczoną w nr 38 (62) odgadło zaledwie osiem osób. Rozwiązanie brzmi:

„DZIECIĘ ZA RĘKĘ, MATKĘ ZA SERCE"

Większość czytelników określała, że rysunek oznacza: „Póty mężowska żałoba, póki nie wstawią żony do grobu", lub „Do serca kobiety nie przez żołądek, lecz przez miłość do dziecka"„ lub „Stara miłość nie rdzewieje" inni jeszcze podawali: „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle", „Nie daleko pada jabłko od jabłoni", „Do ojca po rozum, do matki po serce", Szczęście nie zależy od piękności, lecz od od dobrego serca", „U wdowy chleb gotowy" i „Przez dziecko do serca matki".

Jeszcze najbliżsi prawdy byli ci, którzy podawali ostatnie określenie.

NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMALI:

Wiesława Fejdaszówna — Ostrzeszów poznański pow. Kępno — ul. Św. Mikołaja 30.

Janina Żakicka — Radom—Oddział Rolniczy „Społem", ul. Żeromskiego 31.

Andrzej Wernic — Warszawa, ul. Wiśniowa 48 m. 5.

Halina Braumanowa — Gorlice, ul. 3-go Maja 18.

Dorota Niemcowa — Bielsko, ul. Zielona 10 — 4.

Janusz Fik — Lublin, ul. Lisa Kuli 15—3.

Jan Turek — Kraków, ul. Grzegórzecka 8—5.

Cz. Tutajowa — Zakopane, ul. Strażyska 27 m. 40.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.



Powyżej zamieszczamy zagadkę nr 11. Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 13 października br. Wśród czytelników, którzy nadeślą dobre odpowiedzi — rozlosowanych zostanie

5 nagród książkowych

oraz

10 nagród — Prenumerata kwartalna „Tygodnia"

Rozwiązanię zagadki dziesiątej w następnym numerze.

TYDZIEN

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"

Redaguje: Zespół redakcyjny

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8

Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.

TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715

Redakcja rękopisów nie zwraca

Prenumerata miesięczna 75 zł, pół roczna — 450 zł, roczna 900 zł.

Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766

Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.

Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej

R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa. Smolna 12 B-38771

VI KONKURS „TYGODNIA"
na rozrywki umysłowe

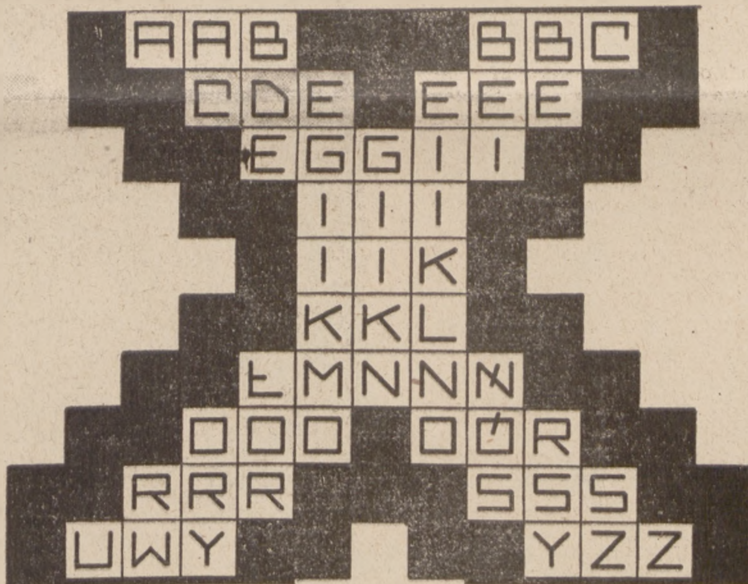
W numerze 38 (62) „Tygodnia" rozpoczęliśmy VI Konkurs naszych rozrywek umysłowych, który zakończy się dnia 23 listopada br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 10 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu po jego zakończeniu wytypują trzy najlepsze zadania.

WIRO-KWADRAT MAGICZNY



Podana figura przedstawia 7-mio literowy kwadrat magiczny oraz wirówkę, związane ze sobą ośmioma wspólnymi głoskami.

Należy odszukać 16 wyrazów wirówki o podanym znaczeniu i rozwiązać kwadrat magiczny przez odpowiednie rozmieszczenie w figurze kwadratu wszystkich głosek wirówki, z wyjątkiem ośmiu głosek wspólnych, które znadują się na właściwym miejscu i stanowią klucz do rozwiązania kwadratu magicznego.

W figurze, jaką dany rysunek przestawia,
Kto głoski na właściwe miejsce poprzestawia,
Poziomo dziesięć różnych wyrazów otrzyma,
Po których, gdy uważnie przebiegnie oczyma,
Spostrzeże w prostej linii z sobą skrzyżowane
Poetów naszej ziemi dwa nazwiska znane.

Znaczenie i porządek słów następujący:

PIERWSZE — port na Cykladach, z swych źródeł słynący;

DRUGIE — w Polsce jezioro wśród Bieźnickiej gminy;

TRZECIE — siostra Jowisza, matka Prozerpiny;

CZWARTE — między Delfinem i głową Pegaza

Dziesięć gwiazd; PIĄTE — w środku Sahary oaza;

SZÓSTE — szatan w narzeczu ludu wioskowego;

SIÓDME — zamek nad Wisłą starosty Dąbskiego;

ÓSME — ród książąt rzymskich wielce zasłużony;

DZIEWIĄTE — dawniej w Polsce krogulec mieniony

DZIESIĄTE — za czasów Łokietka starosta,

Któremu w waleczności mało kto dziś sprosta.

Erazm Grójnacki

SZAFROZA

ZA NAJLEPSZĄ RZECZ TYGODNIA PRZEZNACZAMY 300 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł otrzymał p. Władysław Rosenthal (Chojnice, ul. Człachowska 74 m. 1) za nadesłanie wycinka z „Głosu Pomorza" z dnia 21 września 1947 r.

12 SAMOLOTÓW ZNISZCZYŁ HURAGAN W MIAMI

Miami 18.9. Silna burza, która rozpętała się nad Miami na Florydzie, zniszczyła na lotnisku w Miami 12 wielkich dwumotorowych samolotów handlowych, obsługujących linie Ameryki Łacińskiej.

Wiatr, pędzący z szybkością 160 km na godzinę, zerwał kable, którymi były przymocowane samoloty i zamienił się w bezkształtną masę żelaza...

Nie ma to jak Ameryka, tam nawet i wiatr potrafi „zamienić się w bezkształtną masę żelaza".

ŁOWCY PAJĄKÓW

Z obrzydzeniem patrzymy nieraz na pająka, usiłując go zgładzić, a jednak okazuje się, że nić pajęcza ma ważne znaczenie techniczne. Otóż w ZSRR. są specjalni łowcy pająków, a nawet w Uzbekichstanie niejaki Rachim Narimanow ma „fermę pająków" w swoim dziwnym „gospodarstwie".

Narimanow produkuje pajęczynę, która służy do wyrobu precyzyjnych narzędzi mierniczych, w dziedzinie których najcięższe nawet nicy nie wy trzymują konkurencji ośmionogiego „tkacza". Pająki z tej dziwnej „fermy siedzą w osobnych słoikach, gdyż razem wzajemnie wymordowałyby się.

Farmer wyjmuje je po kolei specjalnymi szczypczykami, przymocowanymi do drewnianej deseczki, tak, że pająk nie może umknąć, tym nie mniej jednak nie męczy się i może przyjmować pożywienie. Po wyjęciu pająka Narimanow trąca go pałeczką, pobudzając w ten sposób do wydzielania pajęczyny, którą następnie nawija na specjalnie przyrządzone ramki druciane. W ten sposób zostaje wy produkowana najcieńsza nić w świecie. (J. M.).

(nadesłał Kazimierz Uryga — Oddział „Społem" Limanowa).

Byłoby „to ciekawe", gdyby można zrozumieć; w każdym bądź razie wyciągnąć należy wniosek: nie zabijać pająków, przeciwnie hodować ich jak najwięcej. Zainteresować Ministerstwo Przemysłu hodowlą pająków, których przędza służyć może do „wyrobu precyzyjnych narzędzi mierniczych„ (szkoda tylko, że autor artykułu nie wymienia do jakich narzędzi?).

KLUB SZARADZISTÓW

W niedzielę, dnia 12 października 1947 r., o godzinie 11 rano odbędzie się zebranie Organizacyjne Polskiego Klubu Szaradzistów, w lokalu Redakcji „Tygodnia", ul. Szpitalna 5 m. 8. Wszystkich zainteresowanych prosimy o przybycie na powyższe zebranie.

Komitet Organizacyjny Pol. Klubu Szaradzistów





Ul. TE-KA

ZWYCIĘSTWO FRANCJI

(KORESPONDENCJA WŁASNA „TYGODNIA")

Paryż, we wrześniu.

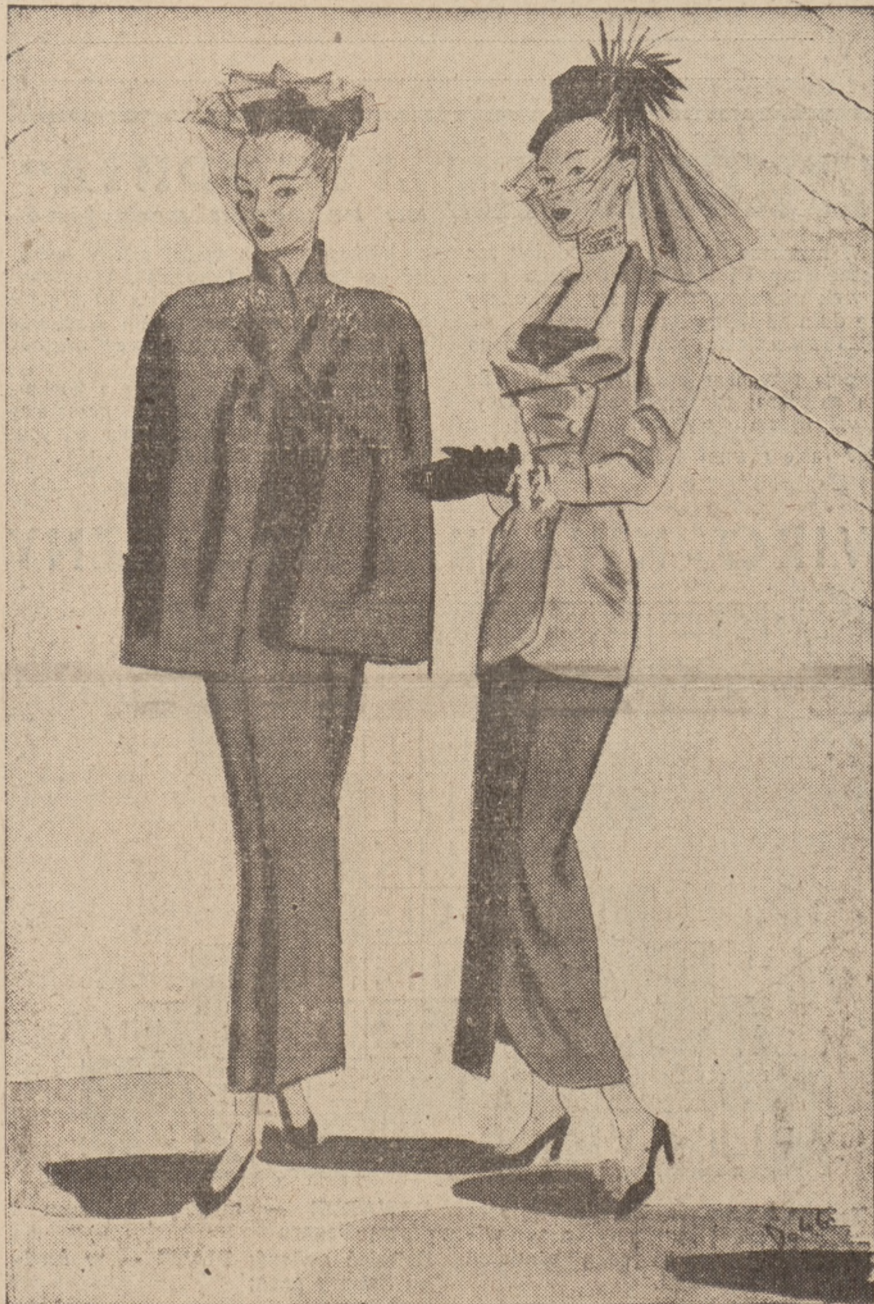
Nigdy geniusz francuskiego smaku nie zabłysnął tak niespodziewanie jak w roku 1947, nigdy kolekcje paryskiej mody nie były tak bogate, różnorodne, tyle mające pomysłów, charakteru i stylu. Francja stanęła u szczytu wszelkich wymagań i jeszcze raz na całej linii zwyciężyła swą rywalkę zza Oceanu, która z wielkimi amibcjami i ogromnymi możliwościami, chciała pobić stary i wytrawny rynek mody całego świata, jakim jest Paryż.

Ameryce zdawało się, że już niczego nauczyć się nie może od zdruzgotanej wojną Europy, a przecież... Wieki całe się składały na ukształtowanie tak wytwornego smaku. Piękno dominowało zawsze we Francji, czy to w malarstwie i architekturze, czy w tkactwie i sztukach stosowanych, w ceramice i biżuterii, w każdym drobnym cacku, które nieraz żadne i z niczego poczęte, w ręku tego narodu, stawały się maleńkimi cudami.

Cóż dopiero mówić o stroju i kobiecie francuskiej, która też od wieków całych celowała w umiejętności, dobierania i noszenia, tworząc swój styl specjalny, zupełnie niezrównany w szyku i indywidualności. Każda z nich wyrobić umiała charakter swój własny, dlatego nigdy nie widać było w Paryżu tej modnej monotonii, która aż do obrzydzenia była nużąca w innych krajach, gdzie kobiety bezkrytycznie i nieinteligentnie poddawały się masowo wskazaniom mody. Cóż więc dziwnego, że Paryżowi w tej dziedzinie berła pierwszeństwa nikt odebrać nie może, że walczyć on będzie nie tylko dla ambicji własnej, ale dlatego też, że to jest jego wielkie źródło dochodu, praca dla tysiecy i tysięcy rąk.

Francja zniszczona po wojnie i okupacji niemieckiej, czym zdobędzie sobie tych trochę dewiz koniecznych, jeśli nie eksportem?! A w handlu narodowym, czyż nie wspaniałe miejsce zajmuje „la haute couture" paryska?

Zrozumienie i uznanie społeczeństwa całego mają też wielcy krawcy francuscy, ciesząc się prawdziwą popularnością. Ich ciężki wysiłek w tym roku zdumiewa i napawa dumą Paryżan. Bez światła, nieraz i opału, bez odpowiednich materiałów, dodatków i barwników, tworzą oni kolekcje cudów, niespotykanych w najlepszych latach pomyślności. Jest to wysiłek zażarty i twórczy, walka o zatrzymanie rynku światowego, ambicja pozostania nadal dyktatorami mody.



Kreacje projektu salonu mód R. Piquet.

A więc rzucają mistrze paryscy rozkaz kobiecie nowej linii bioder, bioder pełnych, okrągłych, szerokiej piersi, cienkiej talii. Suknie stanowczo musi ona przydłużyć ,nawet kostium i sukienka sportowa ma sięgać do pół łydki. Linia i charakter ogólny tego wymaga, a też zrozumienie smaku, że noga, która kobecie najmniej się udaje, zyskuje bardzo, gdy częściowo jest przysłonięta. Piguet lansuje, nawet projekt stroju spacerowego do kostki, dający kobiecie sylwetkę łodygi kwiatu, ale mocno z tym wszystkim niepraktyczny dla stosunków powojennych.

Ale kto wie! Kobieta jest nieobliczalna, właśnie może to sobzie upodoba. Wszak już zdecydowała się bohatersko na włożenie gorsetu, co prawda nie tak potężnego jak dawniejszy, ale też mocno w pasie ściągnięty ów „Guepierre" obowiązujący szykowną kobietę.

Ten Guepierre to źródło dochodu dla państwa! Zamówienia masowe przyjmuje też Paryż na te sugestie gorsetu, w który to wkłada właściwą sobie zręczność, a bierze za to grube dolary. Krawcy francuscy wiedzą dobrze jak zainteresować naiwną a żądną nowości kobietę amerykańską, więc podsuwają jej najrozmaitsze przebiegłości mody, którymi się ona tak cieszy, że potrafi kupić 10 do 12 modeli na jeden raz. A te modele są w tym roku ceny zupełnie niezwykłej, niespotykanej w całej historii, ceny wywołane trudnością produkcji, wartością koncepcji, pewnością wybranego partnera do naiwnego przeciwnika, ceny sięgające od 300 do 1.000 dolarów za model.

Maria Rzepecka



Filcowy kapelusz z koroną ze strusich piór. Model firmy Schiaparelli.



Mały, czarny toczek filcowy z dużym ogonem rajskiego ptaka. (Model P. Balmain).



Szerokoskrzydły kapelusz z woalką, lansowany przez firmę Jacques Fath.